Nr. 37. Lwów, Niedziela dnia 12. Września 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **28** m. półrocznie **14** m. kwartalnie **7** m.
NA PROWINCJI:
Rocznie **32** m. półrocznie **16** m. kwartalnie **8** m.

LUŹNE UWAGI.

XXXVII.

ZABIEGI ULTRAMONTAŃSKIE.

W każdem społeczeństwie, muszą być dwa stronnictwa główne: zachowawcze i postępowe. Do pierwszego należą jednostki lękające się wszelkiej odmiany, aby gorzej nie było — i są to prawie zawsze ludzie starsi, spokojni, albo ci z młodszych, którzy ciągną korzyści z istniejącego porządku rzeczy; w skład stronnictwa drugiego wchodzą zwolennicy bezustannego rozwoju, postępu — i są to najczęściej ludzie młodzi, których krew naprzód pędzi, albo ci ze starszych, którzy zawiodłszy się na teraźniejszości, mają jeszcze nadzieję powetowania strat w zmienionej przyszłości. Oba te stronnictwa, z których pierwsze nazywają dziś konserwatywnem, a drugie liberalnem, są niezbędne, gdyż nawzajem się dopełniają. Gdyby rządziło tylko pierwsze, zapanowałby najzupełniejszy zastój; gdyby rządziło tylko drugie, każdy naród przechodziłby bezustanne przewroty. Pierwsze powstrzymuje zapędy drugiego, drugie dodaje pierwszemu energji i nadziei. Z biegiem czasu, ze starcia tego rodzi się stronnictwo trzecie, umiarkowano-postępowe, i to, a nie inne, rządzi dziś w całym świecie cywilizowanym.

Obok tych stronnictw, widzimy jeszcze jedno zasadnicze, które nazywają ultramontańskiem. Kiedy ono zamanifestowało się jako siła agitacyjna, nie miejsce po temu by się nad tem rozwodzić. Dla nas wystarczy, jeżeli stwierdzimy, że namiętna jego działalność daje się czuć wszędzie dopiero od chwili, gdy po zjednoczeniu Włoch, ogłoszeniu Syllabusu, Encykliki i Nieomylności papieskiej, wszystkie niemal rządy europejskie, licząc się z wymaganiami stronnictw postępowych, oświadczyły się za wolnością myśli i sumienia tj. przeciw głównym podwalinom idei teokratycznej.

Nowe to stronnictwo jest niebezpieczne i zgubne.

Gdyby ultramontanie byli tylko konserwatystami społeczno-politycznymi, za jakich pragną uchodzić, aby tem łatwiej wszystkie żywioły zachowawcze przyciągnąć do siebie, przyjęlibyśmy ich jako jedno stronnictwo więcej, którego praca może być korzystną dla ludzkości. Ale tak nie jest. Konserwatyści społeczno-polityczni, ilekroć okazuje się konieczność, są zdolni do ustępstw; ultramontanie natomiast nie mają w swoim słowniku wyrazu „ustępstwo.“ Opierając się o dogmaty, które nie dopuszczają dyskusji, nie widzą potrzeby żadnych zmian, żadnego postępu, żadnej wolności. Narodowość jest dla nich czczem słowem, ojczyzna mrzonką. Celem ostatecznym wszelkich ich dążności, jest potężny Rzym papieski. W tym uporze bezwzględnym, w tej idei nieprodukcjnej, której ultramontanizm jest żywym wyrazem, widzimy jego szkodliwość. Dla tego też każdy kto nie chce, by wśród żyjącej ludzkości zapanował zastój równający się śmierci, zastój uniemożliwiający pracę nietylko duchową, ale nawet fizyczna, powinien walczyć ze stronnictwem ultramontańskiem.

Zdawało nam się że Polska, która katolicyzmowi nigdy wojny nie wydawała, uchroni się szczęśliwie od tego stronnictwa. Tymczasem stało się przeciwnie. Nie utworzyło się ono wprawdzie z miejscowego duchowieństwa, które nie przestało być narodowem, ale w postaci kilku księży, wychowanych bądź w Rzymie, bądź we Francji, zostało przed niewielu laty gwałtem nam narzucone. Nowe to stronnictwo, rozpoczęło niestety dość dawno pracę od Krakowa, a schlebiając konserwatystom, przyciągnęło ich tam od razu na swoją stronę. Owoce już widoczne. W ciągu kilku lat ostatnich, niektórzy pisarze krakowscy wyrzekając się dla kosmopolitycznego teokratyzmu własnej ojczyzny, tak dosadnie zaczęli Polskę obrzucać błotem, i tak jaskrawo usiłowali potępić wszystko, co sercu każdego Polaka drogiem być nie przestanie — że w ciągu dziewięciu wieków nie uczynili tyle wszyscy renegaci razem wzięci. Oto dotykalne skutki agitacji tego stronnictwa.

Zapanowawszy w Krakowie, ultramontanie skierowali teraz swoje oczy na Lwów. Działalność ich dostrzegamy wszędzie. Zakładają pisma, zakupują już istniejące, naród polski bezczeszczą w tych organach, wciskają się do każdego domu, słowem są wszędzie, bezustannie agitując. A cóż na to stronnictwa nasze, konserwatywne i postępowe? Pierwsze, naiwnie przekonane, że ultramontanie są jego zwolennikami, przeszkód im nie stawia; drugie zaś albo nie widzi co się dzieje, albo lekceważy swoich przeciwników. Nie widzieć jest błędem — lekceważyć, grzechem. Wygląda to tak, jakby kto lekceważył iskrę, mówiąc że z niej nie będzie pożaru. Wprawdzie co do ostatecznego wyniku starcia najmniejszej nie ma wątpliwości, — ale zanim postęp na zawsze ich złamie, ileż złego mogą przedtem wyrządzić! Nie zapominajmy, że oni już mają w swoich rękach majątki i arystokrację, a teraz usiłują pozyskać masy ciemnego ludu. Nie łudźmy się przeto smutnemi frazesami: „jakoś to będzie!“ — „nic nam nie zrobią!“ które są dowodem ciężkiego naszego myślenia, ale szkodliwej tej sile przeciwstawmy dobrze zorganizowaną siłę naszą.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach,

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

III.

Sprawnik siadł nazad w krzesło poręczowe i mówił dalej, nie spuszczając z rotmistrza oka badawczego.

— Otóż wam teraz powiem, przez kogo dostaliście tajemne papiery z Warszawy. Nie ciekawiście wiedzieć! — dodał i zamilkł, jakby czekał na jakie ozwanie się rotmistrza.

Ale ten chodził dalej, i ani z ruchów, ani ze spojrzenia niktby nie poznał, ażali słowa sprawnika silniejsze na nim wywarły wrażenie.

— Przez tego waszego Stasia!... któregoście podnieśli do siebie... Wiecie o kim mówię!... przez Stanisława Wydrę!... którego wy, z panów pan!... którego dziadowie i pradziadowie zasiadali w senacie, przypuściliście do siebie, jako wam równego...

— To walny chłopiec!...

— Z chłopów pochodzi!... jego ojciec był waszym sługą!...

— I razem towarzyszem broni. Wziąłem go z sobą dzieckiem prawie... bił się tęgo!... i był długi czas wachmistrzem podemną... Gdy się już w późniejszym wieku ożenił, i kupił dworek w Gradowcach, a potem umarł, przyrzekłem staremu koledze, że się będę opiekował jego synem... I dobrzem zrobił, bo Staś jest dziś taki wykształcony, że daj Boże by mu się równali nasi panicze, co się nic nie uczą, wyjeżdżają głupcami zagranicę, aby jeszcze większymi wrócić do kraju, i często łotrami do tego.

— Ale zawsze mieszczuch!... rzemieślnik!..

— A prawda!... założył garbarnię na wzór zagranicznych, bo nie darmo lat kilka przepędził za granicą, i dziś miasteczko się podnosi przez jego fabrykę.

— Mieszczuch!... i jemu się także zdaje żo on Polak!,..

— A dajże pokój!... panie i dobrodzieju!... na tym punkcie jesteś jak tabaka w rogu!... Wszystkie dzieci tej ziemi są Polakami. I nie drwijcie wy sobie z mieszczaninów!... Wielka ich przyszłość w ojczyźnie naszej!...

— Ja się wam tylko dziwię, że wy szlachcic! karmazyn czysty!... i was już zdurzyli te demokraty!... Szlachcic zawsze będzie szlachcicem, a mieszczuch mieszczuchem!... Oni was tumanią te mieszczuchy!... Oni was nienawidzą!... zbliżają się do was, aby od was dostać pieniędzy i waszego użyć wpływu do spodziewanej rewolucji; a jakby się udała rewolucja, to wam będą gardła podrzynać, jak to robili Francuzi za tego Robespierra, coście mi kiedyś o nim czytać dawali — i zabiorą wam wasze majątki... i waszym synom każą sobie służyć, a wasze córki będą ich żonami!...

— Gadacie o rzeczy, której nie rozumiecie!... a zresztą co mnie tam do tego!... Już godzinę gadacie, jak Piekarski na mękach... Ot lepiej chodźcie na śniadanie!...

— Więc wy tak tego mieszczucha kochacie, że jakby chciał, tobyście mu dali Kostunię waszą?...

— Co moja wnuczka ma do tej całej rozmowy!...

— I bardzo ma!... bo ten garbarz musi się zalecać do waszej Kostusi!... do senatorskiej dziewczyny...

— Ejże!... — przerwał mu rotmistrz drwiącym tonem — Paweł Onufryjewicz wszystko wie!... Kostunia moja jest dziewczyna, co ma serce i głowę!... daj Boże, by takiemi jak ona były wszystkie dziewczęta. Ona jest panią swojej woli, i kogo ona wybierze za męża, to pewnie tego będzie wart!...

— I przystałaby na to, by została garbarzową, wnuka chorążego, a prawnuka wojewody?

— Chodźmy na śniadanie do Kostuni. Ciocia już się dawno musi niecierpliwić.

— Zaraz panie rotmistrzu... jeszcze chwileczkę... Kiedym zaczął, to już wszystko wypowiem. Otóż ten mieszczuch jeździł do Warszawy...

— W interesie garbarni...

— I był za granicą?...

— W interesie garbarni!..

— Już mu tam kiedyś dobrze wygarbują jego własną skórę. On jeździł porozumieć się z komitetami polskiemi, które spiskują w Warszawie i w Paryżu...

— To są jakie komitety?... nie wiedziałem!.!..

— I z tych komitetów przywiózł wam papiery! rozkaz organizacji i nominację... I już się zaczęła organizacja!... wiem o tem!...

— Panie sprawniku... czy długo jeszcze trwać będzie ten żart wasz?...

— Ja wiem wszystko!.. teraz już rozumiecie, panie rotmistrzu! choć się nie przyznajecie do tego. Ten garbarz i inne mieszczuchy wywiną się... wykłamią, a choć pójdą w sołdaty... to mniejsza o nich!... Wywinie się i marszałek z synem... i prezes i sędzia i deputat, którzy się także tam wmięszali czort wie czego!... wywiną się i te młode hoczajdusze, potomki bałagułów z czasów Konarskiego, a im się zdaje, że ponieważ dobrze siedzą na koniach i dobrze strzelają, to już będą żołnierzami dobrymi w powstaniu — ale to co innego, gdy przyjdzie bić się z naszem walecznem wojskiem...

— Nie ma co mówić!... — przemówił rotmistrz drwiącym tonem.

— Drwijcie, nie drwijcie!... nasze wojsko jest tęgie!... bo będzie stało i dawało się zabijać!...

— Póki go to nie znudzi!...

— Dosyć, że na was panie Kazimierzu się skrupi!... a mnie was żal... bo wy już stary... nie wytrzymalibyście Sybiru — a cóż dopiero...

— I knutów!... to prawda!...

— Cóż temu my, cóż winien car!... batiuszka nasz!.. że wy go wyzywacie, ciągniecie za tę rękę, w której...

— Trzyma knut!...

— Ja tych waszych słów nie powtórzę nikomu!... bo ja was kocham!... ja mam serce!... Długo już was nudzić nie będę.

— Chwała Bogu!... bo ta cała rozmowa...

— Była konieczna!... Ja was panie Kazimierzu muszę wyratować, czy chcecie czy nie!... po tom tu dziś przyjechał!...

— I jakimże to sposobem?... ciekawym bardzo!... — Mówiąc to, rotmistrz stanął na miejscu, przestał nawet kurzyć lulkę i z większą niż dotąd przysłuchiwał się uwagą.

— Ja wiem, co wy myślicie, panie rotmistrzu. Sprawnik ma jakiś donos!... sam przyjechał aby mnie przestrzedz... i przedać milczenie swoje i patrzanie przez szpary. I myślicie sobie: niezły człowiek, trzeba mu dać kubana... on i tak potrzebny... zdałoby mu się z 1000 albo 2000 rubli srebnych karbowanych. Zdałoby mu się na posag dla jego siostry Olgi, któraby poszła za tego piszczyka guberskiego, co to przyjeżdżał do mego wujaszka, co jest popem w Gradowcach!...

— Nie wiedziałem o tem!.. czemuż mi o tem nie wspomnieliście?...

— I dałbyś pewnie Kazimierzu! dałbyś i więcej... gdyby trzeba i 3000 rubli karbowanych!...

— Cóż wielkiego gdybym wam pomógł. Ojciec twój, panie Pawle po r. 1831, gdym wracał z wojaczki, nie mało mi pomógł...

— Mniejsza o to, czy to przez pamięć na ojca, czy z innego ważniejszego powodu. Ale coby to pomogło. Ja tym razem możebym kark skręcił wszystkim donosom, ale to długo trwać nie może. I ja mogę wpaść w podejrzenie! Mnie oddadzą pod sąd! przeniosą gdzieindziej; a na moje miejsce przyjdzie jaki Moskal nastojaszczy, taki, Iwan Iwanowicz, i w końcu zgubi was, bo wykryje wasze sprawki spiskowe. Ale ja wasz przyjaciel!... ja mam serce!... ja mam inny, lepszy sposób ratowania was, i dla tego do was przyjechałem.

— Już teraz nie rozumiem was zupełnie Pawle Onufryjewiczu!...

— Słuchajcież!.. choć się nie chcecie przyznać przed przyjacielem, wierzajcie że wiem wszystko. Na to jest jeden ratunek!.., Idzie o to, aby przekonać, że wy panie Kazimierzu jesteście zupełnie nasz!...

— Jakto?!... — zawołał rotmistrz głosem silniejszym, i odjął cybuch od ust — Ja wasz?...

— A nasz!... jak rząd będzie miał to przekonanie, nie będzie wierzył wszystkim donosom!.. i będziecie wyratowani!...

— Ja wasz?... — powtórzył rotmistrz, a w głosie jego ozwała się gwałtowność, i długa tłumiona niecierpliwość.

— A już wpadacie w zapał!...

— Ja w zapał? broń Boże!

Stary rotmistrz dzielną i energiczną miał naturę. Powstrzymał się zatem siłą woli swojej, i tylko ręką pociągnął po wąsie i gwizdnął sobie na nutę marszu, co było u niego w zwyczaju przy każdem silniejszem wrażeniu,..

— Mówcie dalej, panie sprawniku!... mnie się tylko śmiesznem wydało to wyrażenie się wasze, że ja mam być wasz!...

— Smieszne czy nie śmieszne! to jedyny ratunek!... i ja mam na to sposób!...

— Ciekawym... słowo żem ciekawy!— przemówił rotmistrz, i przechadzał się dalej, nie spuszczając wszakże z urzędnika moskiewskiego spojrzenia coraz uważniejszego.

— Kochany panie rotmistrzu!... wy wiecie że ja do was przywiązany jakby do ojca rodzonego. Wasz dom był zawsze dla mnie jakby dom rodzinny.. Ja was i waszych z serca kocham... i radbym zawsze wasz dom jakby swój własny uważać. I gdyby rząd przekonać, że wasz dom jest rodzną dla mnie, który jestem urzędnikiem cesarskim, to mimo wszystkich donosów spiskowych, was by miał rząd za zupełnie czystego.

Tu się sprawnik chwilę zatrzymał, podniósł z miejsca i pomału zbliżył do rotmistrza, a dobierając postawy i głosu jak najuroczystszego, przystąpił do wypowiedzenia ostatniego słowa, na które rotmistrz czekał nie bez zadziwienia.

— Ja waszą wnuczkę, waszą Kostunię znam od dziecka prawie!... poczciwe to, dobre dziewczę!... a jej Bohu śliczne!... przekrasne!... Ja was panie rotmistrzu... proszę o rękę waszej wnuczki Kostusi!... Ja ją bardzo i od dawna kocham.

Na te słowa rotmistrz zadrżał cały!... Ręce mu się w pięść ścisnęły, a z oczów przez jednę krótką chwilę strzelił błyskawicą wyraz oburzenia i gniewu; usta mu się otwarły, jakby mu z piersi miało wylecieć słowo piorunne. To szczęście, że sprawnik, któremu zdawało się być przyzwoitem w tej chwili spuścić oczy pokornie, nie spostrzegł ani zmiany twarzy ani ócz wyrazu!... Jak wyżej już powiedziałem, w rotmistrzu mimo lat osiemdziesięciu, do których się już zbliżał, była wielka siła duszy. Spojrzał w górę, spojrzał na ściany obie, jakby w niebie, jakby w ojczystej przeszłości szukał siły i wytrwałości, i już się twarz jego wypogodziła, i zdołał nawet wywołać na usta swój zwykły uśmiech spokojny.

— Więc wy, Pawle Onufryjewiczu... kochacie moją Kostusię?... — przemówił głosem zwykłym.

— Od dawna!... i z całego serca!...

Gdy to mówił, fałszywy głos sprawnika szczerszym nawet zdawał się odzywać dźwiękiem.

— Ja się od dawna starałem jej przypodobać!... jabym dla ślicznej waszej Kostusi wszystko był w stanie poświęcić!... Jak ona zostanie moją żoną, matką moich dzieci!.. ja będę wam synem i potrafię was obronić jak ojca... naprzeciw wszelkim szpiegom i donosicielom!.. wam włos z głowy nie spadnie!... Paweł Onufryjewicz nie głupi!... wie co i jak trzeba robić... Dajcie mi waszą Kostusię!... Nic nie mówicie!... — dodał po chwili. — Nie chcecie mi dać waszej Kostusi?...

W głosie mówiącego przebijał się znowu ten sam co pierwej dyszkant fałszywy.

— Ja tego nie powiedziałem, panie Pawle Onufryjewiczu!... Znacie, że nie lubię na wiatr gadać!... Nie spodziewałem się waszego oświadczenia się, i myślałem chwilę nad odpowiedzią...

— A ta odpowiedź?...

— Wiecie dobrze zdanie moje co do różnicy stanów!... Grzeszyliśmy długo na tym punkcie i odpokutowali nie mało. Ja nie wierzę w żadną różnicę...

— Macie wielki rozum!... A potem, ja zostawszy mężem Kostusi... będę umiał korzystać...

Tu się trochę zająknął pan sprawnik.

— Z mojego majątku!... — podpowiedział mu rotmistrz spokojnie.

— I mogę się przenieść do guberskiego miasta, zostanę sowietnikiem... do osobnych poruczeń może!... A jak Bóg dopomoże...

— Dla czego by nie miał pomódz!...— powiedział na to rotmistrz

Tego jednego sarkazmu pozwolił sobie, ale ten tak mu się udał gładko, że go się sprawnik choć tak przezorny i przebiegły, nie dorozumiał wcale.

— Mogę z czasem zostać...

— Gubernatorem!...

— Dla czegóż nie!... — podchwycił ucieszony sprawnik. — Więc mi dacie waszą wnuczkę?...

— Ja tedy dawno sobie powiedziałem, że moja Kostusia za tego pójdzie, kogo sobie sama obierze. Moja biedna Marysia, jej matka, była nieszczęśliwa za stryjecznym bratem marszałka, którego ja w chwili jakiejś nierozwagi szalonej sam wybrałem!... Niechże wnuczka przynajmniej będzie szczęśliwszą od córki mojej; niech sobie sama wybiera.

— A zatem!...

— Idźcie do Kostusi i oświadczcie się jej!...

— Mogę się jej oświadczyć?...

— Możecie!... i powiedźcie jej nawet, że czynicie to za pozwoleniem i za wiadomością moją!...

— Ona mi nie odmówi!... — zawołał radośnie pan sprawnik, i nie mógł wytrzymać, by nie podskoczyć z tą uciechą niską, ludziom podłym właściwą.

— Nie odmówi!... — przemówił rotmistrz mimowolnie, ale tak cicho i niewyraźnie, że sprawnik ledwo tylko słowa dosłyszał, nie dorozumiawszy się znaczenia.

— Ja wiem że nie odmówi!... bo...

Tu w zapomnieniu radosnem chciał może co jeszcze powiedzieć, ale się nagle pięścią w gębę uderzył, i dodał tylko:

— Idę do Kostusi!...

— Idźcie z Bogiem!...

Paweł Onufryjewicz wybiegł cały w susach.

A gdy już wyszedł, i kroki jego na drugą stronę domu zwrócone przebrzmiały, stary rotmistrz odetchnął, wyprostował się, i wykrzyknął mimowolnie:

— Z djabłem idź!... z djabłem, łotrze Moskalu!...

Przyskoczył do okna, otworzył je na oścież, jakby mu po tej dusznej rozmowie powietrza zabrakło.

— Dzięki ci Boże, żem wytrzymał, żem nie wybuchł i w proch nie zgniótł tego niegodziwca Ja go nie znałem — mówił dalej sam do siebie, ale przytłumionym głosem — nie znałem dotąd. Miałem go za głupca tylko, przedajnego jak każdy z tych czynowników moskiewskich!... ale on mnie oszukał!... Kostusi mu się zachciało, mego oczka w głowie!... mego brylantu najczystszej wody! A to szelma!... I majątku mu się mego zachciało; bo ja nie wierzę, aby się on mógł szczerze kochać... Moja Kostusia, żona Moskala!...

— I powiedział — dodał po chwili coraz niecierpliwiej biegając po salce — że ona mu nie odmówi. Co on miał na myśli? Czyż ja mojej Kostusi nie znam!... już ona będzie umiała mu odpowiedzieć!... i pan sprawnik pójdzie z kwitkiem i długim nosem! Szelma!... łotr!... aż mnie ręce świerzbią.

Tu się nagle zatrzymał, i uderzył w czoło...

— Ale on wie coś!... wie wszystko prawie, o ile mogłem zrozumieć ze słów jego!... Kto nas mógł zdradzić?... Może ma tylko posądzenie!... bo prócz nas przecież nikt nic wiedzieć nie może. Na każdy przypadek trzeba się mieć na ostrożności. Muszę ze Stasiem pogadać.

To rzekłszy, przystąpił do stołu i zadzwonił. Jeszcze się dźwięk dzwonka dobrze rozejść nie mógł, kiedy wbiegł już sługa poufny rotmistrza, ale tak jakoś prędko, że mimowolnie zadziwił się pan Kazimierz...

— Byłeś już pode drzwiami!... czy może miałeś mi co donieść Piotrze?

— Ja!... ja nie byłem pode drzwiami!... — odpowiedział Piotr co prędzej. — Ja myślałem, widząc pana sprawnika jak poszedł do panny — dodał i urwał.

Rotmistrz popatrzył na niego przez chwilę z niejakiem zadziwieniem, ale porwany innemi myślami, zwrócił się do niego i rzekł co prędzej:

— Poszlij kogo do Gradowiec po pana Stanisława.

— Po pana Wydrę!...

— Ale prędzej!...

Po wyjściu Piotra znowu przemknęła przez głowę starego rotmistrza myśl jakby pół posądzenia...

— Piotr może!... — mruknął sam do siebie. — Przez tego łotra Moskala same głupie myśli przychodzą mi do głowy. Piotr jest wierny!... wychowałem go, wykupiłem od wojska!... tfu!...

Splunął poczciwy rotmistrz i zamyślał się na nowo o sprawach ważniejszych.

My zaś teraz, za pozwoleniem szanownych czytelników moich, przeniesiem się na drugą stronę do wnuczki starego rotmistrza, aby poznać piękną Konstancję i podsłuchać jej rozmowę z panem sprawnikiem.

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

II.

Kraj.

Kto od greckiego archipelagu lub od brzegów hiszpańskich rozwiniętemi żaglami płynie ku tym lądom, z których światło prawodawstwa szerokim strumieniem lało się na wszystkie ludy osiadłe nad basenem morza Śródziemnego, temu Italja nie wyda się tak piękną, jak nam, którzy przez szczyty Alp dążymy. Tamten wita niebo błękitne i spokojne, ale takie same on zostawił za sobą; widzi wegetację bujną, ale równie piękną ma w swojej ojczyźnie; nowością będą dlań przeto tylko pamiątki klasycznej przeszłości — ruiny starej Romy, która światem trzęsła — zabytki sztuki, z której powstała sztuka nowoczesna.

Inaczej atoli przedstawiają się Włochy nam, mieszkańcom środkowej, lub północnej Europy. Nas czaruje i ten lazur nieba, tak rzadko chmurami pokryty — i ta roślinność nieznana w naszych stronach — i te błękitne morza, tak odmienne od północnych — i te wyspy siłą wulkaniczną na powierzchnię wody wyrzucone — i te wspomnienia wielkiej przeszłości — i te ruiny — i ta sztuka włoska! Zachwyt nasz tem większy, że do tej ziemi musieliśmy przedzierać się przez strome i zimne góry, jakby na stwierdzenie pospolitego, ale nie mniej prawdziwego przysłowia, że bez przeszkód nie ma przyjemności. Kobieta

piękna a zalotna, ma prawie zawsze przyjaciółkę brzydką, z którą rada pokazuje się wszędzie; od brzydoty wspaniałej odbijają jej wdzięki. Zalotna Italja odgraniczyła się od północnej Europy zimnemi i jak śmierć strasznemi górami, aby do strudzonego wędrowca tem śmielej powiedzieć: Spojrzyj jakam piękna — tam śmierć, a u mnie życie! Niebezpieczna zalotnica wabi ku sobie — ale gdyby nie Alpy jej wdzięki byłyby mniejsze.

Minąwszy północne równiny, zrzadka zarosłe drzewami owocowemi i winogradem, a gęsto poprzecinane ryżowemi polami, zatrzymaj się chwilę na górze San Luca, zkąd widzisz okiem nieobjętą płaszczyznę Emilji opartą z jednej strony o góry, a z drugiej o burzliwe wody Adrjatyku — płaszczyznę, podobną do olbrzymiego ogrodu owocowego, po którym bezładnie rozsiano tysiące domków; miń Apeniny, w których czterdzieści tunelów wykuto, aby środkowe Włochy połączyć z północnemi, i spojrzyj na okolice Florencji zasiane oliwnemi drzewami; przebiegnij bujne łąki między Pizą a Livornem, na których pasą się stada wołów, koni i wielbłądów, należące do króla Wiktora Emanuela; całą siłą pary pędź przez bagniste wybrzeża, dzielące Toskanję od Rzymu; chwilę podumaj nad dziką Kampanją; zajrzyj w te góry rzymskie, w których powitają cię czeluście wypalonych kraterów; zwiedź okolice Neapolu, mające już florę prawie zwrotnikową; wejdź na szczyt wiecznie groźnego Wezuwjusza; podumaj w ruinach Pompei; przypatrz się tym licznym wioskom, które przytuliły się do gór na pół nagich — nakoniec ścieżkami, po których nie raz snują się bryganci, przebiegnij Kalabrję — a ujrzysz się nad brzegiem nowego morza, po którem szybowały pierwsze łodzie fenickie. Oto Italja mająca wszystko czego cywilizacja wymaga. I środkowe położenie, zapewniające panowanie nad całym basenem morza Śródziemnego; i olbrzymie przestrzenie wody ułatwiające komunikację na wsze strony; i liczne porty niezbędne dla handlu; i bogatą roślinność bez której nie ma silnych ludzi; i klimat niezbyt gorący, w którym duch człowieka swobodnie się rozwija — wreszcie góry, w których zawsze pojawiały się pierwsze brzaski cywilizacji. Jest więc wszystko, czegoż pragnąć więcej?"

Ach, trzech rzeczy zabrakło na tej ziemi, bez których piękno natury pełnem być nie może, — rzeczy, bez których my żyć nie umiemy.

Lasów — rzek — ptaków.

Gdyby na stokach Apeninów odwieczne bory nie były runęły pod nielitościwą siekierą cywilizacji; gdyby wśród pól, przynajmniej gdzie niegdzie szumiała grupa lip albo dębów, oko miałoby na czem spocząć, myśl zmęczona monotonnością łanów sztucznie założonych, odświeżyłaby się wesołym obrazem natury, i duch w pięknej rozmaitości znalazłby nowe pożywienie. Tych drzew jednak szukałbyś napróżno na górach lub w polu otwartem. Znajdziesz je chyba w jakim parku, lub w ogrodzie miejskim. Brak flory rozłożystej w całych Włoszech tak wielki, że nawet wille rozsiane po kampanjach, muszą uciekać się do krzewów lub drzew wawrzynowych, aby stworzyć cień, tak potrzebny w tych stronach.

Rzeki włoskie, prócz kilku, które z Alp spadają, a których bieg niedługi — to nie nasze strumienie rwące, o powierzchni czystej jak zwierciadło, ale wody leniwe, błotniste, które szumią na wiosnę po zimowych deszczach, ale w lecie ledwie sączą się w łożysku namulistem Pad, Arno, Tyber nikogo nie zachwycą. Wprawdzie łatwo wyświecić dla czego są takie a nie inne, na przestrzeni bowiem wąskiej, otoczonej zewsząd morzami, na przestrzeni, przez której środek łańcuch gór pomyka, wielkie rzeki potworzyć się nie mogą; ale nam nie idzie o wytłumaczenie rzek włoskich, my tylko stwierdzamy, że nie ma pięknych.

Większa ryba niechętnie przebywa w wodzie, która w lecie do połowy opada, a prócz tego przemysł rybacki, kwitnący we Włoszech jak nigdzie indziej, bo go za moich czasów żadnemi ustawami nie skrępowano, niszczył zapamiętale rybki drobne aby z nich wielkie nie urosły. Idąc nad wieczorem wzdłuż Arna we Florencji, widzisz codzień długi szereg rybaków, którzy brodząc po kolana w mętnej wodzie, łapią sieciami najdrobniejsze rybki, które wrzucają do drewnianych kubłów o wąskich szyjkach, przymocowanych z tyłu do paska rzemiennego. Rybak taki strawi nieraz godzinę, zanim jednę rybkę złowi — ale cierpliwości nie traci, gdyż cierpliwość to pierwsza cnota Włocha. Rybacy rzymscy nie tyle cierpliwi, co dowcipni. W pobliżu zamku S. Anioła widziałem w wodzie kilka siatek, które same, bez pomocy człowieka spełniały obowiązek łowienia ryb. Przyrząd to bardzo prosty. Na długiej żerdzi, przymocowanej do brzegu, znajdują się cztery skrzydła, jak u wiatraka, które prąd wody porusza. Do jednego skrzydła rybak przymocowuje worek szeroki podobny do sieci, który to się zanurza, to w górę podnosi. W chwili gdy znajdując się u góry, ma na dół opaść, skutkiem ciężaru własnego dna tak znakomicie się przewraca, że ryby, jeśli się jakie złowiły, padają w tej chwili na miskę, która tuż obok młynka znajduje się na desce, przymocowanej także do brzegu. Gdzie przemysł rybacki tak się rozwinął, czyż można mówić o stworzeniach, zamieszkujących nurty rzek?

Darowałbym jednak ryby, których w wodzie nie widać, za wesołe ptactwo, szczebiocące w krzewach i w powietrzu — za orły, których lot majestatyczny tak mile działa na oko — za domowe bociany, klekocące nad wiejskiemi chatami — chociażby wreszcie za wrony i sroki przyczyniające się niezmiernie do ożywienia natury. Atoli prócz szarego wróbla, zjadającego tak dobrze naszą pszenicę, jak durę afrykańskiego murzyna, i bardzo małej liczby ptaków śpiewających, we Włoszech rzadko kiedy można ujrzeć większego ptaka. Gdy po czteroletnim pobycie na półwyspie Apenińskim, zobaczyłem w Alzacji pierwszą srokę skrzeczącą na płocie, dziwne uczucie owładnęło moją duszę, jak gdyby mnie witał stary, a dawno niewidziany przyjaciel. Włoch jest z natury wrogiem każdego stworzenia, więc niszczy je, jak może.

Raz w kwietniu jeden z moich lepszych znajomych w Bolonji, wpadł do dnia do mego pokoju, a chwytając mię za ramię, zawołał:

— Wstawaj!

— Co takiego?

— Mówiłeś mi nieraz że lubisz polowanie, pójdziemy więc dziś na polowanie.

— Bardzo chętnie, ale gdzie psy, gdzie strzelby?

— My tu polujemy bez psów i bez strzelb... Wstawaj tylko!

Zaintrygowany takiem zapewnieniem, zebrałem się coprędzej, i w pół godziny byłem na kampanji.

— Rób jak ja, a przekonasz się, że polowanie powiedzie nam się wyśmienicie.

Rzekłszy to, mój towarzysz zaczął przeglądać płoty winogradowe, i gęstsze krzewiny, a ilekroć znalazł gniazdko z pisklętami, wyjmował małe, skręcał im główki i tak upolowaną zwierzynę zawieszał na nitce u guzika swego surduta. Napróżno usiłowałem oderwać go od barbarzyńskich łowów. Giovanni tak był przekonany, że nic złego nie robi, i że to jest jedyny racjonalny sposób polowania — iż w końcu zaczął się nawet gniewać za moją opozycję.

Możnaż tam mówić o ptakach, gdzie tacy są myśliwi?

Skutek tego niszczenia ptaków jest ten, że co krok spotkasz się z jaszczurką, co dwa kroki w południowych prowincjach z wężem, a powietrze przepełnione w lecie mirjadami muszek, ciem i komarów. Podczas skwarów lipcowych ćmy tak się rozmnażają, że rady gminne zapalają wieczorem nad wodami wielkie ogniska, aby je choć częściowo zniszczyć.

Gdym już potrącił o włoskich myśliwych, opowiem pokrótce jedyne polowanie, które przy mojem współudziale odbyło się ze strzelbami.

Działo się to także w Bolonji. Między wojskowymi znałem pewnego majora, człowieka bardzo młodego, który pod Garibaldim dosłużył się tego stopnia, a potem przez rząd włoski został przyjęty w tej samej randze do armji regularnej. Był to chłopiec wesoły i bardzo towarzyski. Ponieważ z bataljonem swoim stał za murami miasta, u podnóża Apenin, prosiłem go zatem, ażeby przysłał po mnie, jeśliby się kiedy nadarzyła sposobność zapolowania na pewną zwierzynę. Po dwóch tygodniach wpada służący majora cały zadyszany, i wręcza mi list swego pana, w którym tenże zaprasza mnie do siebie na objad, a potem na wielkie łowy, ponieważ pod górami pojawiła się — *una lepre!* Widocznie zając był w tych stronach zjawiskiem fenomenalnem, kiedy major wzmianką o nim lakonicznie list zakończył. Zbieram się, biegnę, a gdym stanął przed gołowąsym majorem, ten powitał mnie nowym okrzykiem:

— *Una lepre! Una lepre!*

Ucieszyłem się jego radością. Podczas gdyśmy objad jedli, pół kompanji żołnierzy otoczyło miejscowość, w której rano widziano zająca, a pięciu najlepszych strzelców bataljonowych zajęło odpowiednie stanowiska, aby rzadka zwierzyna nie wymknęła się przedwcześnie. Gdyśmy się z nimi złączyli, dwaj żołnierze w charakterze ogarów skoczyli między płoty winogradu, krzycząc w niebogłosy. Przestraszony szarak wymknął się zmierzając prosto ku kukurydzy. Jak na komendę zagrzmiało kilkadziesiąt strzałów, co słysząc zając przyspieszył kroku, i minąwszy kukurydzę biegł ku żywopłotowi, którym pole od gór było oddzielone. Tu się chwilę zatrzymał; widocznie liczył się ze siłami czy płot przeskoczy. Major, który od tego miejsca stał o kroków kilkanaście, przyszedł mu w pomoc. Dzięki kilku butelkom wina, wypitym przy objedzie, tak znakomicie wymierzył i wystrzelił w ziemię tuż poniżej skoków zająca, że szarak od razu nabrał odwagi i jak podsadzony płot przeskoczył, pędząc ku górom. Teraz dopiero piękny przedstawił się widok. Cała nasza armja ruszyła bez komendy w pogoń za uciekającym bohaterem dnia, a na jej czele major, któremu jednak ten nieprzyjemny zdarzył się wypadek, że przeskakując płot zawiesił się na jego ciernistych gałęziach. Ilu

żołnierzy wywróciło się przy tej sposobności, tego już nie widziałem. Pamiętam tylko że zając czmychnął, śmiejąc się z nas serdecznie, i że major potem nie raz powtarzał z głębokiem westchnieniem:

— Szkoda, mieliśmy zająca!

Na grubą zwierzynę za mojej bytności we Włoszech, raz tylko polowano w Apeninach. Z przejeżdżającej jakiejś menażerji wymknął się lew i uciekł w góry. Z Florencji wysłano natychmiast trzy kompanje strzelców; stolica była w gorączkowym nastroju. Co kilka godzin nadchodziły telegramy, a gdy nareszcie ubito niebezpiecznego gościa, radość była bez granic. Bersaljerów o mało wawrzynowemi nie ozdobiono wieńcami. Okrzyk: — *Valorosi!* był na wszystkich ustach.

Nie sądźcie atoli, żeby w całych Włoszech polowań nie było. W królewskich lasach *San Rossore* i w Kalabrji można na grubą zapolować zwierzynę. Tam jednak nie polowałem, a jeżeli moje łowy ani was zbudowały, ani zabawiły, to chyba wina nie cięży na mnie. lecz na smutnych okolicznościach.

A teraz przebaczcie, że drobnostkami zająłem tak długo waszą uwagę. Aby się poprawić, poruszę natychmiast jednę ze spraw najważniejszych, nad którą zachód, z p. Lessepsem na czele, właśnie teraz duma.

Klimat włoski jest ciepły, nawet jak dla nas bardzo ciepły, ale czy byłby on takim, gdyby nie wiatry południowe, wiejące od Sahary? Wiatry afrykańskie, zanoszące nieraz aż do Palerma na Sycylji żółty pył z piasków Sahary, ogrzewają wszystkie wybrzeża morza Śródziemnego, a chociaż gdyby nie one, w Italji mniejby wypijano rumu i wermuthu, na zabicie bowiem nudy podczas *scirocco* są to jedyne lekarstwa, mimo to Włosi chętnie na ten wydatek będą się zawsze narażali, byle te wiatry wiać nie przestały. Dziś jednakże kilku Francuzów zaczęło przemyśliwać czy całą Saharę nie dałoby się przemienić w wielkie morze kontynentalne; któreby potem użyźniło Afrykę środkową. Gdyby to uczyniono, Afryka zyskałaby trochę, południowa zaś Europa straciłaby niesłychanie wiele. W Grecji, we Włoszech i Francji południowej klimat stałby się znacznie wilgotniejszy, we Węgrzech panowałyby zimna jak u nas — a do Niemiec północnych i do nas przeniosłaby się chyba Syberja, bo przecież i do środkowej Europy zalatują teraz dość często wiatry południowe. Dobrze więc zrobiła natura, zasypując piaskami kanał, który miał niegdyś łączyć Saharę z wodami Atlantyku, i głośno protestujemy przeciw pomysłowi francuskich inżynierów. Nie wątpimy że taki sam protest założą państwa najbliżej interesowane i że do wykonania projektu p. Lesseps nigdy nie przyjdzie. Bo i cóżbyśmy potem robili bez ryżu, fig, cytryn i wina?

Zima ze śniegiem i mrozami, to fenomen we Włoszech. Wprawdzie na północy śnieg pada każdej zimy, ale rzadko kiedy leży dłużej jak dobę; za to w Italji środkowej w ciągu trzech zim raz tylko widziałem trochę śniegu na drzewie, które wieśniacy z gór przywieźli; a co do prowincji południowych, to jest on tam zjawiskiem niesłychanem. Jeżeli do Rzymu zawita kiedy mróz jedno lub dwustopniowy, i zetnie wodę w fontannach, ojcowie i matki wyprowadzają dzieci, aby paluszkami dotknęły się go z bliska, bo może za ich życia nie powtórzy się więcej to ciekawe zjawisko. Wtedy Rzym cały na nogach, a mieszkańcy biegając po ulicach i ręce zacierając, powtarzają przy powitaniach i pożegnaniach:

— *Fa fresco! Fa fresco!**)

(C. d. n.)

WYCIECZKI
na
współczesny Parnas francuski.

„Nie łatwo to jest dzieło, dzieje ludzkie głosić.
Poniżać gdzie potrzeba, gdzie trzeba wynosić.
Wskazywać, jak się rzeczy na świecie kojarzą,
Środek między pochlebstwem trzymać, a potwarzą.“

Krasicki: List do A. Naruszewicza *O pisaniu Historji.*

Coś na kształt przedmowy.

Skromny ten zbiorek szkiców z jakim przed łaskawą stajemy publicznością, nie ma pretensji do miana krytyki, i nie stroi się jej powagą. Krytyka sumiennie pojęta, wymagałaby głębszych studjów i przestronniejszego pola pracy. Do pierwszych się nie przyznajemy, na drugiem może nam zbywać.

Kilku śmiałemi pociągami, jak gdyby kredy lub węgla na desce, odtworzyć celniejsze typy współczesnej nam francuskiej literatury; stworzyć coś, co by nie będąc jeszcze portretem, mogło wszakże o modelu niejakie dać wyobrażenie; nie gardząc i żartem czasem, i pobieżną nawet anegdotką, opowiedzieć ziomkom co się nam tu i owdzie słyszeć dało od Francuzów o koryfeuszach ich piśmiennictwa; jednem słowem „utile dulci“ przyjemne łącząc z pożytecznem, bawiąc, jeśli się uda, zapoznać z rzeczą doniosłą i uwagi godną —

oto jedyna pracy naszej ambicja.

Czy się i z takiej wylegitymować potrafimy? Czytając — osądzicie.

Paryż d. 3. kwietnia 1875.

J. S. Chamiec.

I.
Aleksander Dumas.

„*Ab Jove principium!*“ „*A tout seigneur tout honneur!*“ Biorąc się do kwestji, chwytajmy ją za rogi, i rzecz o współczesnej francuskiej zawodząc literaturze, zacznijmy ją od literatury tej pryncypała.

Protestującym, to jest tym, którzyby honorowy ten tytuł Wiktorowi Hugo przypisać chcieli, odpowiemy: iż Wiktor Hugo nie należy już do naszej generacji, że odłam w nim gruzu o lepszych czasach, świadczący o wspanialszej niegdyś architekturze gmachu poetycznego. Potęgą swego jenjuszu sięga on czasem dni przyszłości, lecz poziomej, przejściowej epoce naszej sądzić go jeszcze nie wolno.

Wnukowie, dalej od tego olbrzymiego gotyckiego postawieni tumu, łacniej okiem uchwycą potężne jego rozmiary.

Dla nas on za wielki, za niebotyczny.

My pod cieniem wzniosłych, piętrzących się jego filarów, przesuniem się z galerją sprytnych, zdolnych i utalentowanych, lecz pigmejskich w porównaniu postaci.

Aleksander Dumas zatem.

Co za wymowny argument! na korzyść krzyżowania się ras, jaka z pokolenia w pokolenie gradacja talentów i zdolności!

Owoc to miłośnych stosunków margrabiego Davy de la Pailleterie (bogatego kolonisty na Martynice) z Joanną Dumas, niewolnicą i murzynką. Dziadek mulat niezłym był jenerałem wojsk Rzeczypospolitej z 1789 r. Za obronę mostu pod Brixen, w Tyrolu, przezwany nowożytnym Horacjuszem Koklesem, zostawił po sobie wspomnienie dzielnego i niezłomnej wiary rycerza.

Ojciec, utalentowany gawędziarz, twórca tylu tak skwapliwie przez cały świat połykanych romansów i powieści, urwis do końca życia, i moralne ladaco, lecz zawsze autor, który te niedostatki wynagrodził tylu innemi zaletami!

Żywot jego przecięty wczoraj zaledwie, (umarł w 1871 r.) już się jakąś bajeczną wydaje legendą; krąży o nim podań i anegdotek bez liku, a wszystkie prawie, jeśli nie o zdrowym sensie, jeśli nie o statku, to o poczciwem sercu, o szczodrej dłoni zmarłego jednogłośne dają świadectwo.

Złotem piórem swojem zarobiwszy majątku parę miljonów, umarł omal że nie biednym, a trzy czwarte efemerycznej tej fortuny w przyjacielskich, jak mówią, utonęło kieszeniach.

Ze stosu literackich produkcji jego, niektóre jak *Antony* ważną w swym czasie odegrały rolę i są żywym wyrazem swej epoki; inne zaś jak *Monte-Christo* lub *Les trois mousquetaires* wszelkie mają warunki trwania na przyszłość i cieszenia tak wnuków naszych, jako nas ongi cieszyły.

Umarł nie wszedłszy do Akademji, której wrota zamykała mu uparcie gromada bardzo może cnotliwych i przykładnych, lecz niesłychanie ciężkich i pozbawionych wszelkiego talentu miernostek, jak de Falloux, Nisard, de Broglie, de Noailles etc. etc. etc.

Umarł, skazany przed śmiercią na łzy nad zgruchotaną wojenną sławą Francji, którą wielbił nie w jednem dziele, ulegając w tem ogólnej chorobie narodowej.

Umarł, widząc bez zazdrości, jak skromna gwiazda literackiej jego sławy, bladła przed potężniejszej o wiele gwiazdy syna promieniem. Syn więc teraz, przedmiot niniejszego szkicu. Urodzony 28. lipca 1824 r. król dramaturgów francuskich, 51szy zatem rok już rozpoczął życia.

Jest to mężczyzna średniego wzrostu i miernej tuszy, śniadawą tylko barwą twarzy i gęstym, kędzierzawym nieco zarostem, zdradzający egzotyczny swój początek w trzeciem po prababce pokoleniu.

Fotografje—znam go z nich tylko—potężne, myślące czoło, i silnie rozwiniętą dolną szczękę, znak zmysłowych popędów, jako wybitną fizjonomji jego wykazują cechę.

O ile ojciec był typem szałowiły i wietrznika, o tyle on uchodzi wszędzie za osobistość stateczną i pozytywną.

O ile ojciec nie dbając o pieniądze, ciskał je w bezdenne hulanki otchłanie, o tyle on w nich rozmiłowany, dzięki wielokrotnym i olbrzymim literackim swym sukcesom, coraz to krąglejszym cieszy się, jak mówią, zbiorem kapitałów.

O ile ojciec wreszcie, hołdownik piękna, motyle swoje serce na cztery świata strony pod stopy pierwszej lepszej spotkanej b o g i n i z skandaliczną nieraz rzucał szczerotą, o tyle on ze starszą od siebie ożeniony osobą (moskiewką, wdową Naryszkin) jeśli kiedy pokłóci się z kontraktem małżeńskiej wierności, to czyni to tak gładko i z taktem, że o tem, jako o rzeczy dziejącej się za kulisami, za murem prywatnego ży-

*) Zimno.

wota, nikt bez zostania pamfleciarzem, bez narażenia się na słuszną i prawną odpowiedzialność, nikt ani mówić ani pisać nie ma i nie może mieć prawa.

Ta tak wybitna sprzeczność charakterów musiała wpłynąć na oziębienie serdecznych stosunków między ojcem a synem.

Synowi statyście, nie na rękę był ten awanturniczy i pomimo szronu na głowie, ciągle młodzika udający tato; znosząc go więc z musu, sercem, jeśli takowe posiada, wcale się nie spieszył w jego stronę; i gdy ojciec ze zwykłą sobie poczciwą dobrodusznością, pysznił się laurami jedynaka, nazywając go najlepszym swoim utworem, syn w publicznych swoich o rodzicu odezwach, z jakąś szyderczą wyższością, z jakiemś bluźnierczem zwykł go traktować politowaniem.

— *Ce pauvre grand homme!* — upodobany przezeń frazes w tych okazjach, nie wiem jak komu, ale mnie w uściech dziecka mówiącego o ojcu, co najmniej wydaje się niewłaściwym i rażącym.

Postronnie zaś, w poufnem kółku, nie raz sobie jak mówią pozwalał złośliwych żartów kosztem własnego ojca.

— *Mon père est si vaniteux* — miał o nim powiedzieć pewnego wieczoru: *Mon père est si vaniteux, qu'il serait capable de monter derière sa propre voiture, pour faire croire, qu'il a un negre à son service.*

Za autentyczność powyższej anegdotki rozumie się nie ręczę; ufny tylko mądrej francuskiej gadce: *On ne prête qu'aux riches,* za wielu innemi tu się ją powtórzyć ośmielam, zresztą *se non è vero, è ben trovato!* (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

(Pierwsza próba czółna. — Znalezione na wybrzeżu rzeczy z rozbitego statku. — Spławienie takowych do Pałacu Granitowego. — „Przylądek Rozbitków.“ — Spis rzeczy zawartych w skrzyni: narzędzi, broni, instrumentów, odzieży, książek i naczyń. — Czego brak Pencroffowi. — Ewangelja. — Wiersz z Pisma św.)

Dnia 29. października czółenko z kory było gotowe. Pencroff dotrzymał słowa. W pięciu dniach sporządził rodzaj łodzi, której pudło wyplecione było z giętkich pręcików krzewu zwanego „crejimba.“ Jedna łódka umieszczoną była z tyłu, druga w pośrodku, ażeby łodzi nadać trwalszą spójnię, trzecia ławka na przedzie; burta z pachołkami na dwa wiosła i ster do kierowania dopełniały urządzenia statku, którego długość wynosiła dwanaście stóp, a ciężar nie dochodził dwiestu funtów. Spuszczenie łodzi na wodę odbyło się bardzo po prostu. Zaniesiono lekkie czółenko nad sam brzeg morza i postawiono je na piasku, a przypływ wody pochwycił je i uniósł. Pencroff wskoczył w nie natychmiast i począł sterować, poczem przekonał się, że nadawało się wybornie do zamierzonego użytku.

— Hurra! — wrzasnął marynarz, nie wahając się tym sposobem uczcić własny swój tryumf. — Tą maszyną możemy opłynąć dokoła...

— Swiat cały? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie, wyspę. Kilka kamyków na spód jako balast, jeden maszt na przodzie i kawałek żagla, który nam kiedyś sfabrykuje pan Cyrus, a zajedziemy daleko! Hola! panie Cyrus, i pan, panie Spilett, i ty Harbercie, i ty Nabie, cóż-to nie spróbujecie nowego statku? Tam do djabła, wszak trzeba się przekonać, czy uniesie nas pięciu!

W samej rzeczy należało się o tem przekonać. Pencroff za jednem poruszeniem steru przybił z czółnem do brzegu przez wąski przesmyk pomiędzy skałami. Postanowiono tego samego dnia jeszcze odbyć próbę z czółnem, puściwszy się wzdłuż brzegów morza aż do pierwszego zakrętu, gdzie się kończył południowy łańcuch skał.

W chwili gdy wsiadali do czółna, Nab zawołał:

— Ależ nie szpetnie zamaka twój okręt, Pencroffie!

— To nic — odparł marynarz. — Drzewo musi wprzód wodą nasiąknąć. Za dwa dni to przejdzie, a łódź nasza nie będzie miała w sobie tyle wody, ile jej jest u pijaka w żołądku. Wsiadajcie!

Wsiedli więc wszyscy, a Pencroff wypłynął na pełne morze. Pogoda była przepyszna, morze tak spokojne jak gdyby wody jego ujęte były w ciasne brzegi jeziora, a czółenko mogło pruć jego głębie tak bezpiecznie jakby spokojne fale Dziękczynnej.

Nab chwycił za jedno wiosło, Harbert za drugie, a Pencroff pozostał na tyle czółna przy sterze.

Marynarz przepłynął naprzód kanał, i potem trzymał się wzdłuż południowego krańca wysepki. Lekki wiaterek dął od południa. Ani w kanale, ani na pełnem morzu nie było znać najmniejszego kołysania się bałwanów. Długiemi regularnemi falami, których uderzenia zaledwie czuła ciężko wyładowana łódź, wzdymało się morze. Tym sposobem odpłynęli na pół mili od brzegu, zkąd góra Franklina ukazywała się ich oczom w całym swym ogromie.

Poczem Pencroff zwrócił czółno i popłynął na powrót ku ujściu rzeki. Odtąd posuwali się wzdłuż brzegów, które zaokrąglając się w kabłąk aż do zakrętu, zasłaniały całą bagnistą płaszczyznę Tadornów.

Zakręt ów czyli róg oddalony był od Dziękczynnej blisko trzy mile drogi, odległość jego bowiem zwiększała się wskutek zaokrąglenia brzegów. Osadnicy nasi postanowili dotrzeć aż do tego zakrętu i minąć go tylko o tyle, ażeby módz rzucić okiem na wybrzeże ciągnące się ku przylądkowi „Ostrego Szponu.“

Czółno posuwało się zatem wzdłuż brzegów w oddaleniu najwyżej 240 sążni, wymijając skały, któremi gęsto w tej stronie zasiane było morze, a które przypływ począł zakrywać. Sciana granitowa począwszy od ujścia rzeki aż do owego zakrętu zniżała się stopniowo. Były to stosy brył granitowych dziwacznie porozrzucanych, zupełnie różnych od tych, z jakich się składała Wielka Terasa, a przedstawiających widok nader dziki. Zdawało się jakoby w tem miejscu wypróżniony został olbrzymi ładunek skał. Grzbiet ściany spiczasty, ciągnący się dwie mile wzdłuż krawędzi boru, obnażony był z wszelkiej roślinności, a ów róg skalny wyglądał jak ramię olbrzyma wychylające się z fałdów zielonego rękawa.

Czółno popychane dwoma wiosłami posuwało się lekko po powierzchni wody. Gedeon Spilett z ołówkiem w jednej ręce, z notatkami w drugiej, kreślił w ogólnych zarysach kształty wybrzeża. Nab, Pencroff i Harbert gawędzili ze sobą, przypatrując się tej nieznanej jeszcze części ich posiadłości, a w miarę jak łódź płynęła ku południowi, obydwa przylądki „Szczęk“ zdawały się przysuwać ku sobie i szczelniej zamykać zatokę Stanów Zjednoczonych.

Cyrus Smith milczał tylko i patrzał, a wzrok jego niedowierzający i podejrzliwy zdradzał widocznie, że spogląda na nieznaną sobie i obcą okolicę.

Po trzech kwadransach żeglugi, gdy łódź zbliżała się już prawie do owego zakrętu, a Pencroff gotował się opłynąć go dokoła, Harbert podniosłszy się w łodzi wskazał na jakąś plamę czarną i rzekł:

— Co tam czarnego leży na brzegu?

Wszystkich oczy zwróciły się we wskazanym kierunku.

— W samej rzeczy — odezwał się korespondent — coś tam być musi. Sądziłbym prawie, że to są szczątki z jakiego okrętu rozbitego zagrzebane do połowy w piasku.

— Aha! — zawołał Pencroff — wiem już co to jest!

— Cóż takiego? — zapytał Nab.

— Beczułki, beczułki, i to pewnie nie próżne! — odparł marynarz.

— Przybij do brzegu, Pencroffie! — rzekł Cyrus Smith.

Po kilku uderzeniach wioseł, przybiło czółno do małej przystani, a żeglarze nasi wyskoczyli na brzeg.

Pencroff nie mylił się. Były to dwie beczułki zagrzebane do połowy w piasku, a przymocowane silnie do szerokiej skrzyni, która podtrzymywana przez nie na powierzchni wody, pływała po morzu, dopóki nie została wyrzuconą na brzeg.

— Widać więc, że musiał się okręt jakiś rozbić w okolicach wyspy? — zapytał Harbert.

— Oczywiście — odparł Gedeon Spilett.

— Ale co tam być może w tej skrzyni? — zawołał Pencroff z łatwą do pojęcia niecierpliwością. — Co jest w tej skrzyni? Ze wszystkich stron jest zamkniętą, a nie ma czem rozbić wieka! Aha, spróbuję kamieniem...

I podnosząc z ziemi ciężką bryłę, chciał nią roztrzaskać jednę ze ścian skrzyni, gdy inżynier wstrzymując go za rękę, rzekł:

— Czy możesz, Pencroffie, pohamować twą niecierpliwość przez jednę tylko godzinę?

— Ależ wyobraź sobie, panie Cyrus! Wszak w niej może się znajdować to wszystko, na czem nam zbywa!

— Przekonamy się o tem, Pencroffie — odrzekł inżynier — ale wierz mi, nie gruchoc tej skrzyni, która nam może być przydatną. Zabierzmy ją ze sobą do Pałacu Granitowego, tam ją łatwiej otworzymy bez uszkodzenia. Ona przysposobioną jest do pływania, a skoro dopłynęła tutaj, dopłynie i do ujścia rzeki.

— Masz pan słuszność, panie Cyrus, byłem w błędzie — odparł marynarz — ale człowiek nie zawsze może być panem siebie.

Rada inżyniera była roztropną. W samej rzeczy łódź nie byłaby była w stanie unieść przedmiotów zawartych w skrzyni, która musiała być ciężką, skoro dla podtrzymania jej na wodzie użyto dwóch próżnych beczułek. Lepiej więc było zaciągnąć ją, tak jak była, do podnóża Granitowego Pałacu.

A teraz zachodziło pytanie, zkąd się tu wzięła ta skrzynia? Była to kwestja niezmiernie

ważna. Cyrus Smith z towarzyszami swymi rozglądali się uważnie do koła i na kilkaset kroków tam i napowrót przebiegli brzeg morza. Lecz żadnego więcej szczątka nie znaleźli. Z równą uwagą rozpatrywali się także po morzu. Harbert z Nabem wdrapali się na jednę z wysokich skał, lecz cały widnokrąg do koła okazał się pustym. Nie było widać nic zgoła, ani pływających szczątków rozbitego statku, ani żadnego okrętu z żaglami.

A jednak nie było najmniejszej wątpliwości, że jakiś okręt musiał się rozbić w pobliżu. Może nawet wypadek ten miał jaką styczność z owem znalezionem ziarnkiem śrótu? Może obcy jacy przybysze wylądowali w innej stronie wyspy? Może się tam jeszcze znajdowali dotychczas? Oczywiście jednak nasunęła się osadnikom naszym odrazu uwaga, że przybyszami tymi nie mogli być rozbójnicy malajscy, skrzynia bowiem wskazywała zbyt jasno swe pochodzenie amerykańskie lub europejskie.

Osadnicy nasi zgromadzili się wszyscy dokoła skrzyni, która była pięć stóp długą, a trzy stopy szeroką. Zrobioną była z dębiny, bardzo starannie ze wszystkich stron zamkniętą, obciągniętą grubą skórą a pobitą mosiężnemi gwoździami. Obie brzuchate beczułki, zamknięte hermetycznie, które jednak za pierwszem uderzeniem okazały się próżnemi, przymocowane były do niej zapomocą tęgich powrozów zawiązanych w węzły, które Pencroff poznał odrazu jako „węzły marynarskie.“ Skrzynia zdawała się znajdować w zupełnie dobrym stanie, co tłumaczył dostatecznie fakt, że wyrzuconą została na brzeg piaszczysty, a nie na rafy. Przypatrzywszy się jej bliżej, można było nawet twierdzić z pewnością, że dopiero od niedawna znajdowała się w wodzie i świeżo przybiła do brzegu. Woda, jak się zdawało, nie musiała wkraść się do środka, a przedmioty zawarte w niej musiały być zupełnie nietknięte.

Widocznem było, że skrzynię tę musiano wyrzucić z tonącego okrętu pędzącego ku wyspie, i że podróżni w nadziei, że skrzynia przybije szczęśliwie do brzegu, gdzie ją później odszukają, za pomocą tego pływającego przyrządu zamierzali utrzymać ją na powierzchni wody.

— Zaciągniemy ze sobą tę skrzynię do Pałacu Granitowego — rzekł inżynier — i spiszemy inwentarz zawartych w niej przedmiotów. Jeśli odszukamy na wyspie którego z tych mniemanych rozbitków, oddamy ją temu do kogo należała. Jeśli zaś nie znajdziemy nikogo....

— Wtedy zatrzymamy ją dla siebie! — zawołał Pencroff. — Ale, na Boga, co też tam w niej być może?

Przypływ morza począł już w tej chwili dosięgać skrzynię i byłby ją niezawodnie uniósł ze sobą. Jeden z powrozów, przymocowujących beczułki został w połowie rozwiązanym, ażeby służyć za cumę mającą ten przyrząd pływający przytwierdzić do łodzi. Poczem Pencroff z Nabem poryli wiosłami piasek w około, ażeby łatwiej było ruszyć skrzynię z miejsca, i wkrótce łódź, ciągnąc za sobą skrzynię, poczęła okrążać z powrotem ów zakręt, któremu dano nazwę: „Przylądek rozbitków.“ Żegluga szła ciężko, a beczułki zaledwie zdołały utrzymać skrzynię po nad wodą. Prócz tego obawiał się marynarz co chwila, ażeby nie oderwała się i nie poszła na spód. Na szczęście jednak obawy jego nie ziściły się, a w półtorę godzinę później — tyle czasu potrzeba było ażeby przebyć tę trzymilową przestrzeń — przybiła łódź do podnóża Granitowego Pałacu.

Wówczas łódź i skrzynię wyciągnęli na piasek, a ponieważ morze poczęło już odpływać, wkrótce więc znaleźli się na lądzie. Nab pobiegł po narzędzia, ażeby odbić skrzynię, tak, by ile możności jak najmniej została uszkodzoną, poczem przystąpiono do inwentarza. Pencroff nie ukrywał wcale swojego wzruszenia.

Marynarz rozpoczął od odwiązania beczułek, które znajdując się w zupełnie dobrym stanie, mogły oczywiście przydać się na coś. Poczem odbito zamek za pomocą obcęgów i wieko odskoczyło.

Wnętrze skrzyni miało drugą powłokę cynkową, snać dlatego, by zawarte w niej przedmioty we wszelkich okolicznościach zabezpieczone były od wilgoci.

— A! zawołał Nab, miałyżby w środku być smażone owoce.

— Mam nadzieję, że nie, odparł korespondent.

— A gdyby też to był... mruknął półgłosem marynarz.

— Co takiego? zapytał Nab posłyszawszy słowa marynarza.

— Nic!

Pokrywę cynkową rozcięto w szerz, odgięto ją po obu bokach skrzyni, poczem stopniowo poczęli wyciągać z niej przedmioty nader różnorodne i składać takowe na piasku. Przy każdym nowym kawałku Pencroff krzyczał na całe gardło: hurra! — Harbert klaskał w dłonie, a Nab tańczył... jak prawdziwy murzyn. Znajdowały się tam między innemi książki, na których widok Harbert omal nie oszalał z radości, i narzędzia kuchenne, które Nab mało co nie okrywał pocałunkami!

Zresztą osadnicy nasi mieli wszelki powód być zadowolonymi, skrzynia ta bowiem zawierała rozmaite narzędzia, broń, instrumenta, odzież, książki i oto spis ich dokładny, zamieszczony w notatkach Gedeona Spiletta:

Narzędzia:	3 noże, każdy o kilku ostrzach.
	2 siekiery do rąbania drzewa.
	2 siekiery do robót ciesielskich.
	3 heble.
	2 toporki.
	1 dłutko obosieczne.
	6 par nożyc.
	2 pilniki.
	3 młoty.
	3 świdry zwykłe.
	2 świdry do wiercenia ziemi.
	10 woreczków z gwoździami i śrubkami.
	3 piły rozmaitej wielkości.
	2 pudełka igieł.
Broń: . .	2 strzelby skałkowe.
	2 strzelby kapslowe.
	2 karabiny iglicowe.
	5 kordelasów.
	4 szable używane przy walkach okrętowych.
	2 beczułki prochu, zawierające każda po dwadzieścia pięć funtów.
	12 pudełek kapsli.
Instrumenta:	1 sekstant.
	1 lornetka kieszonkowa.
	1 luneta.
	1 pudełko z kompasem.
	1 busola kieszonkowa.
	1 termometr Fahrenheita.
	1 barometr.
	1 pudełko z wszystkiemi przyrządami fotograficznemi, jako to: objektywami, płytami, substancjami chemicznemi i tp.
Odzież: .	2 tuziny koszul z osobliwej tkaniny podobnej do wełny wytworzonej jednak widocznie z włókien roślinnych.
	3 tuziny pończoch z tej samej tkaniny.
Naczynia:	1 dzbanek żelazny.
	6 rondlów mosiężnych pobielanych.
	3 talerze żelazne.
	10 zupełnych nakryć składających się z łyżek, nożów i grabek.
	2 samowary.
	1 piecyk przenośny.
	6 noży stołowych.
Książki: .	1 Biblja zawierająca *Stary* i *Nowy Testament.*
	1 atlas jeograficzny.
	1 słownik rozmaitych narzeczy polinezyjskich.
	1 słownik przyrodniczy w sześciu tomach.
	3 ryzy białego papieru.
	2 niezapisane książki rejestrowe.

— Trzeba przyznać, rzekł korespondent, gdy ukończono spis rzeczy, że właściciel tej skrzyni był człowiekiem praktycznym! Narzędzia, broń, instumenta, odzież, naczynia, książki, niczego nie brak! Wydaje się istotnie, jakoby z góry miał zamiar zostać rozbitkiem i naprzód się na to przygotował!

— W samej rzeczy, nie brak niczego, mruknął Cyrus Smith zatopiony w myślach.

— To rzecz pewna, dodał Harbert, że okręt, który wiózł tę skrzynię i właściciel jej nie należał do rozbójników malajskich.

— Chyba, jeżeli jej właściciel popadł w niewolę rozbójników... rzekł Pencroff.

— Przypuszczenie to jest bez żadnej podstawy, odparł korespondent. Prawdopodobniejszem jest, że okręt jakiś amerykański lub europejski zapędzony został w te strony, i że podróżni, chcąc niezbędne przynajmniej przedmioty ocalić, upakowali tę skrzynię i spuścili ją w morze.

— Czy i pan jesteś tego zdania, panie Cyrus? zapytał Harbert.

— W samej rzeczy, moje dziecko, odparł inżynier, to się łatwo mogło wydarzyć. Być może że w chwili rozbicia lub w przewidywaniu tegoż zebrano do tej skrzyni najużyteczniejsze przedmioty, w nadziei odszukania jej później w jakiej stronie wybrzeża...

— Nawet pudełko z przyrządami fotograficznemi! zauważył niedowierzającym tonem marynarz.

— Co do tego przyrządu, odparł Cyrus Smith, to nie pojmuję jasno użyteczności jego w tym razie, i przydatniejszym byłoby tak dla nas, jak i dla każdych innych rozbitków, kompletniejszy zapas odzieży lub obfitszy broni!

— Lecz czy nie znajdziemy może na tych instrumentach, narzędziach, książkach jakiego znaku lub napisu, po którym moglibyśmy dojść ich pochodzenia? zapytał Gedeon Spilett.

O tem należało się przekonać. Przepatrzono więc uważnie każdy przedmiot z osobna, a zwłaszcza książki, instrumenta i broń. Ani broń, ani instrumenta, wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie posiadały znaków fabrykanta; zresztą znajdowały się w wybornym stanie i zdawały się być jeszcze nigdy nieużywane. Tę samą

własność posiadały także narzędzia i naczynia; każdy kawałek był całkiem nowy, co wszystko razem świadczyło dobitnie, że nie wrzucano ich do skrzyni na chybił trafił, lecz przeciwnie, że obmyślano dobrze wybór przedmiotów i starannie takowe uporządkowano. Świadczyła o tem także owa druga powłoka metalowa, zabezpieczająca je od wilgoci, której niepodobna było zlutować na prędce.

Co się tyczy słownika przyrodniczego i słownika narzeczy polinezyjskich, obadwa były w języku angielskim, lecz ani nazwisko wydawcy ani data wydawnictwa nie były na nich wyrażone.

Podobnie miała się rzecz z Biblją; było to wydanie angielskie, *in quarto*, godne uwagi ze względów typograficznych, i zdawało się być często wertowane.

Atlas jeograficzny był przepysznym egzemplarzem, zawierał mapy całego świata i kilka kart morskich płaszczyzno-kolistych układu Mercatora *), z nomenklaturą francuską, — nie posiadał jednak także ani daty wydawnictwa, ani nazwiska wydawcy.

Wszystkie te przedmioty zatem nie posiadały żadnej oznaki zdradzającej ich pochodzenie, ani też nic takiego, po czem by się można było domyślać do jakiej narodowości należał okręt, który niedawno mijał te strony. Skąd bądź jednak pochodziła ta skrzynia, osadników wyspy Lincolna zamieniała w bogaczów. Dotychczas przerabiając surowe płody natury, sami, własnemi siłami wytwarzali wszystko i dzięki swej inteligencji potrafili dać sobie radę. Lecz czy nie wydawało się tak, jakoby Opatrzność chciała im to wynagrodzić, zsyłając im te różnorodne utwory ludzkiego przemysłu? Jednogłośnie zatem wzniosły się ich dziękczynne modły ku niebu.

Mimo to jeden z nich nie był zupełnie zadowolonym. A tym był Pencroff. Zdaje się, że skrzynia nie zawierała jednej rzeczy, do której niezmierną przywiązywał wartość, i w miarę jak wydobywano z niej różne przedmioty, jego „hurra!“ stawało się coraz słabszem, a po ukończeniu inwentarza, słychać było, jak mruknął pod nosem:

— Wszystko to pięknie i dobrze, lecz obaczycie, że dla mnie w tem pudle nie ma nic!

To spowodowało Naba do zapytania.

— A czego żeś się to, przyjacielu Pencroff, spodziewał?

— Pół funta tytoniu! odparł poważnie Pencroff, wtedy by mi niczego więcej do szczęścia nie brakowało!

Na tę uwagę marynarza, towarzysze jego nie mogli powstrzymać uśmiechu.

Z całego tego odkrycia jednak wynikała teraz więcej niż kiedykolwiek konieczność dokładnego zwidzenia całej wyspy. Postanowiono zatem nazajutrz skoro świt ruszyć w drogę w górę korytem Dziękczynnej, tak, ażeby dotrzeć do zachodnich wybrzeży. Jeżeliby przypadkiem kilku rozbitków wylądowało w tej stronie wyspy, łatwo być mogło, że byli ogołoceni z wszelkich środków do życia, a w takim razie należało niezwłocznie przyjść im z pomocą.

Cały ten dzień upłynął na znoszeniu znalezionych przedmiotów do Pałacu Granitowego, i systematycznem takowych uporządkowaniu we wielkiej sali.

*) Gerhard Mercator, geograf i kartograf, ur. w r. 1512 we Flandrji, wsławił się wprowadzonym po raz pierwszy i od jego imienia nazwanym układem (projekcją) głównie do map morskich. (Przyp. tłum.)

Tego dnia — 29. października — była właśnie niedziela, i Harbert przed spoczynkiem zagadnął inżyniera, czyliby nie chciał przeczytać im jakiego ustępu z Ewangelji.

— Z ochotą, odparł Cyrus Smith.

Wziął więc do rąk świętą tę księgę i już chciał ją otwierać, gdy Pencroff chwycił go za rękę i rzekł:

— Panie Cyrus, jestem zabobonnym. Otwórz pan książkę na chybił trafił i odczytaj nam pierwszy wiersz, który wpadnie panu w oko. Obaczymy, czyli da się zastosować do naszego położenia.

Cyrus Smith uśmiechnął się na te słowa marynarza, i czyniąc zadość jego życzeniu, otworzył Ewangelję właśnie w miejscu, w którem tkwił znaczek między stronicami.

I nagle wzrok jego padł na krzyż nakreślony czerwonym ołówkiem przy wierszu 8mym rozdziału III. Ewangelji św. Mateusza.

Odczytał zatem wiersz ten opiewający w te słowa:

Proście a będzie wam dane, szukajcie a znajdziecie. (C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

III.

Cesarz wybrał do swego orszaku nadkoniuszego Leona Naryszkina, jenerał-adjutanta Ungersternberga, petersburskiego policmajstra bar. Korfa i radzcę dworu Wołkowa. Zaopatrzył ich przytem w przepustkę własnoręczną, w której wyrażono, że prócz fortecy wolno im także bez straży odwidzić ks. Jana. Sam zaś z ukrytą gwiazdą ś. Andrzeja pozostał w tyle, rozkazawszy Naryszkinowi, by szedł naprzód z gęstą miną, dla lepszego zmylenia poszlak. Lecz Jan nie dał się oszukać, przypatrzywszy się uważnie chwilkę odwidzającym, padł do nóg carskich.

— N. Panie! — zawołał — ty masz prawo tutaj rozkazywać; nie nadużywając długo twojej cierpliwości, będę cię upraszał o złagodzenie mojego losu. Tyle lat już dręczę się w tem ciemnem więzieniu, pozwól więc, aby przynajmniej choć czasem dozwolono mi oddychać świeżem powietrzem!

Piotr był mocno wzruszony temi słowami.

— Wstań książę — powiedział on, z lekka uderzając go po ramieniu. — Odtąd nie troszcz się o nic, użyję wszelkich środków zawisłych odemnie, aby ulżyć twemu losowi. Powiedz jednak czy pamiętasz wszystkie nieszczęścia, jakie cię spotkały od najmłodszych lat?

—Z początku nie miałem żadnego prawie wyobrażenia o mojem położeniu, ponieważ byłem małem dzieckiem; lecz odkąd zacząłem pojmować moje nieszczęście, nieustannie łzy moje z płaczem ojca i matki mięszałem, którzy cierpieli jedynie za mnie. Najwięcej wszakże udręczały mię przejazdy z jednej twierdzy do drugiej, gdyż wtedy rodzice moi musieli znosić największy ucisk i prześladowania.

— Od kogoż to pochodziło? — zapytał cesarz.

— Od urzędników, dodanych by nas strzegli, którzy po większej części byli ludźmi bez litości.

— Może pamiętasz ich nazwiska?

— Ach! nie przychodziło nam wtedy na myśl, pytać ich o to. Na klęczkach dziękowaliśmy Bogu, że zastąpiono ich mniej złymi.

— Czy między nimi nie zdarzył się ani jeden dobry?

— Z tego całego stada tygrysów był wyjątkiem tylko jeden—pokochaliśmy go, szanowali i gorzko żałowaliśmy, gdy nas opuścił. Jego wspaniałomyślne zajmowanie się nami i dobroć serca, nigdy nie wybiegły nam z pamięci.

— Czy pamiętasz nazwisko tego dobrego człowieka?

— Niech mię Bóg uchowa, bym kiedykolwiek o nim zapomniał! Był nim Korf.

Był to ten sam, który obecnie znajdował się w świcie cesarskiej. Korf nie mógł obojętnie słuchać ostatnich słów Jana i zalał się łzami. Wtedy car nie mniej od niego rozczulony, wziął go za rękę i drżącym głosem powiedział:

— Baronie! przyjemna to rzecz robić dobrze.

Ażeby zaś lepiej ukryć wzruszenie, Piotr wyszedł z więzienia z Korfem, Naryszkinem i Wołkowym i zostawił tylko br. Ungersternberga z Janem. Baron zapytał księcia, jakim sposobem dostał się do tutejszego więzienia.

— Trudna rada z rozbójnikami! — odpowiedział książę. Pewnego razu przyszedł rozkaz do więzienia, gdzie się znajdowałem z rodzeństwem; zgraja oprawców rzuciła się pomiędzy nas i wyrwała mię z rąk ojca, matki, braci i sióstr, jedynych istot, które pozostawały na świecie na pociechę mego losu okrutnego. Ileż łez wylałem potem! I czy dojdzie przynajmniej wieść do nich o mnie, że żyję....

Tutaj baron chcąc przerwać nieprzyjemną rozmowę, zapytał więźnia, jakiego jest zdania o przyszłym losie nowego cesarza.

— Sądząc z pojęcia, jakie urobiłem sobie o Rossjanach — odpowiedział — spotka go zapewne ten sam los, co i mnie. Ojciec i matka powtarzali mi często, że cudzoziemscy książęta będą zawsze zrzucani z tronu przez dumnych i wiarołomnych Rossjan.

Tutaj car wszedł napowrót do więzienia w towarzystwie trzech pozostałych ze świty i z komendantem, do którego rzekł biorąc za rękę Jana.

— Rozkazuję ci, abyś odtąd był względnym dla księcia, i pozwalał mu przechadzać się wewnątrz fortecy, kiedy tego zażąda. Resztę instrukcyj nadeszlę, podług których zastosujesz się w twojem postępowaniu w obec jego świętej osoby (swiaszczennoj osoby.)

Wyszedłszy od Jana, car zaczął przechadzać się po wnętrzu twierdzy i wybierał miejsce odpowiednie na więzienie dla „kobiety“ (uznicy). Komendantowi wydał rozkaz zebrania robotników, dodając następujące słowa:

— Życzę sobie, aby tu stanął dom czworoboczny, o dziewięciu oknach z każdej strony; dokoła ma być urządzony ogród, gdzieby książę mógł się przechadzać i znajdować rozrywkę w swoich smutkach. Po ukończeniu budowy sam tu zjadę, by do nowego domu sprowadzić księcia.

Zapewne cesarz tak mówił do komendanta Szlüsselburskiego, aby ukryć przed nim swoje prawdziwe zamiary. Jakaż zresztą mogła być myśl, budowania nowego więzienia dla tego, kogo miano osadzić na tronie? Nie; nowe więzienie miało wcale inne przeznaczenie, nie podlegające

najmniejszej wątpliwości: przygotowywano je dla Katarzyny....

Wyjeżdżając ze Schlüsselburga, car jeszcze raz powrócił do ks. Jana, by się z nim pożegnać. Po powrocie do Petersburga wszyscy łamali sobie głowę, pytając, co może spotkać uwięzionego księcia.

Gdy książę Holsztejn, wuj córki, dowiedział się o tych odwidzinach, doradzał carowi, by młodego księcia wraz z jego ojcem Jerzym Antonim Brunświckim i z całem rodzeństwem odesłał do Niemiec. Piotr nie chcąc wynurzać się przed nim z prawdziwych zamiarów, udawał, że przychyla się do rad wuja, i niby w tym celu kazał przeprowadzić Jana do Keksholmskiej twierdzy, zbudowanej na jednej z wysepek jeziora Ładogi.

Nieostrożność atoli Piotra III rosła z dniem każdym i dodawała otuchy Katarzynie. Zamiary jego względem niej dla wielu nie były tajne, co ją popychało do tem hazardowniejszych kroków, aby plany męża uprzedzić. Wygnana do Peterhofu i mieszkając w małych pokoikach, Katarzyna całe dni poświęcała uknuciu spisku, dla zrzucenia z tronu Piotr III, i nie rozdzielała się z nowym kochankiem, z którego umiała zrobić najzuchwalszego spólwinowajcę.

Po wyjeździe Poniatowskiego, najuważniejsi dworacy byli pewni, że Katarzyna dochowuje mu wiernie. Tymczasem ona dosyć często starała się wynagrodzić (nawierstywała) nieobecność swego przyjaciela. Tem udawaniem usiłowała zainteresować wszystkich podwójnem swojem nieszczęściem, nie dopuszczając równocześnie, by się domyślali nowej jej miłości. Nawet sami jej przyjaciele byli oszukani. De Bretel, który miał się za najprzenikliwszego i używał największego zaufania u Katarzyny, wierzył w nieustające jej przywiązanie do Poniatowskiego i poniżał swą poselską godność do tego stopnia, że nie wstydził się doręczać własnoręcznie wszystkie jego listy oraz odbierał na nie odpowiedzi. Wtajemniczoną we wszystkie tego rodzaju sprawy carowej, była tylko jedna Katarzyna Iwanowna Wrebbe, najwytworniejsza i wypróbowana powiernica. Umiała ona spełnić swój obowiązek z takim sprytem, że najbliżsi z otoczenia nie mogli domyśleć się, jaką była w istocie Katarzyna. Orłów wszakże niedługo znajdował się w takiem samem położeniu; przewaga jego była tak wielką, że carowa nie mogła dłużej ukryć przed nim swego uczucia. (C. d. n.)

Bezimiennemu.

Komu znany żywot mój,
Kto pod krzyżem ze mną stał,
Kto policzył moje łzy.
Kto mej duszy widział znój,
Jej rozpacznej walki szał.
I rozwiane drogie sny —

W czyjej piersi głośno bił
Prawdy wielki, czysty dzwon.
I miłości jasny zdrój!
Kto z tą pieśnią, którą żył,
Wiązał czyny w bliźny ton.
Wiązał trudy i ból swój —

Kto się chlebem łaski truł!
Komu w młode skronie wrósł
Sierocego wieńca głóg;
Ten w mej pieśni sercem czuł,
Że ją jęk ku niebu niósł.
Że mym Bogiem — prawdy Bóg!

Lecz kto zimny rozum wpił
W ksiąg zmurszałych starą pleśń,
Gdy w nim serce ciężkim snem
Nakształt martwych drzemie brył;
Kłamstwem nazwie — żywą pieśń,
I owionie grobów tchem!

Kto do sztucznych przywykł ról,
Czyj widnokrąg fałszu świat
Wałem gładkich zamknął ścian;
Kłamstwem nazwie — żywy ból!
Bo jak człowiek, bo jak brat,
Nie zna żaru wspólnych ran!

Nie mnie ścigać orłów lot!
Pieśń, co Stwórca w pierś mą wlał,
Pełna błędów, pełna plam —
Niech w nie godzi żółci grot —
Lecz ach!... któż ci prawo dał
Pieśni mojej zadać kłam!?

Maj 1875.

Marja B.

Pogadanki.

XXXVII.

Rozpoczęły się najrozmaitsze ćwiczenia, których celem jest zbliżyć ludzkość do ideału doskonałości. Garnizon najpierw lwowski, wyruszył ku Lubieniowi, ażeby odeprzeć nieprzyjaciela nacierającego na stolicę od Sambora. Ponieważ przewidziano z góry, w którem miejscu nastąpi starcie, do którego punktu najeźdźca odeprze z początku naszych obrońców, i w jaki sposób nakoniec zmuszonym będzie do odwrotu, więc jest wszelka nadzieja, że unikniemy zgrozy oblężenia i wzięcia miasta szturmem, i że tylko waleczna armja wyćwiczy się w odpieraniu nieprzyjaciela, na wypadek gdyby nas chciał kiedy atakować podług przepisanego mu obecnie planu. Innego rodzaju ewolucje odbywają się jednocześnie u OO. Jezuitów; procesja idzie za procesją, książeczki budujące ducha sypią się między lud jak kartacze. Antychryst wyje ze złości, widząc tyle dusz wydartych jego szponom. Każdemu z uczestników i każdej uczestniczce pobożnych tych obchodów dostaje się w udziale trzydzieści lat odpustu, z tych zaś pewna ilość liczy się w tył, a reszta idzie na rachunek przyszłości. Łatwo przewidzieć jak kolosalne powstaną ztąd aktywa w sumieniach, djabeł przywiedziony do ostateczności będzie chyba musiał porwać sam siebie, wiadomo bowiem iż nadwyżka zasług osiągniętych przez ćwiczenia pobożne idzie na karb mniej nawet gorliwych wyznawców wiary, a tem samem, uwalnia ich od złych następstw grzechu. W takich warunkach piekło będzie musiało likwidować, jeżeli go nie poratują szkoły, rozpoczynające właśnie półrocze zimowe. Zdrożne te instytucje, jakkolwiek bez ustanku i miłosierdzia smagane biczem X. Stojałowskiego w owych książeczkach, o których wspomniałem, jeszcze ciągle ośmielają się istnieć i samem istnieniem swojem podkopywać wielkie zasady wiary i moralności. Budują im nawet gmachy coraz okazalsze, jak gdyby już nie dość było tego zgorszenia. Gimnazjum przy ulicy Halickiej i Akademja techniczna na Nowym Świecie rosną jak na drożdżach, a temi dniami właśnie poświęcono nowo wystawioną szkołę pięcioklasową ewangielicką. Poświęcono! Pożal się Boże, pastor zmówił krótką modlitwę i na tem koniec, zostawiono profesorom ćwiczenie niewinnej dziatwy w praktykach i wybiegach szatańskich, takich jak arytmetyka, fizyka i historja naturalna, itp. Już i skromne panienki, zamiast na matki chrześcijańskie, coraz liczniej kształcą się na sawantki, nie korzystające z trzydziestoletniego odpustu, nie dowierzające, by mogły być odpuszczonemi kary za grzechy, które w przyszłości dopiero popełnionemi będą. Święte nieuctwo, niegdyś chluba i ozdoba płci pięknej, znika coraz bardziej, niejedna dzisiaj słyszała już o logarytmach, nim jeszcze umie z gracją zatańczyć walca lub zmówić litanję do Matki Boskiej po francusku. Panny i panie sromają się nieznajomości prawideł pisowni, historji ojczystej, lub piśmiennictwa, a nie sromają się tego, iż nie wierzą w jakim wypadku należy udawać się do Najświętszej Panny w Hodowicach, a w jakim do Podkamieńca lub do Zarwanicy. Wobec takiego stanu społeczeństwa, rodzice wbrew lepszemu przekonaniu swojemu zmuszeni są posyłać córki do szkoły, i dla tego też, jakkolwiek z bolem serca, widzę się zniewolonym donieść pro publico bono, że wyższy zakład naukowy żeński pani Selingerowej przeniesiony jest z dotychczasowego lokalu do domu pod liczbą 11 przy ulicy Jagiellońskiej. Wolałbym ja wprawdzie donieść, że np. klasztor panien Wizytek przeniesiono do nowo dla nich wybudowanego pałacu marmurowego, i rodzice lepiejby robili, gdyby oddawali córki do nowicjatu, ale ponieważ niestety trudno jest płynąć przeciw tak zwanemu prądowi czasu, więc jakkolwiek niechętnie, przyznaję, iż zakład pomieniony rozwija się bardzo pomyślnie, iż urządzenie nowego lokalu nie zostawia nic do życzenia, i że ludzie fachowi zalecają szkołę pani Selingerowej jako jednę z najlepszych. Na tem wyznaniu kończę i uciekam od przedmiotu gorycz w sercu budzącego — toż nawet ulicę niegdyś Jezuicką przechrzczono na Jagiellońską, jak gdyby Jagiellonowie mieli więcej prawa do wdzięczności miasta, od OO. Jezuitów! Horrory!

* * *

Od niepamiętnych czasów Lwów nie budował się na tak wielką skalę, jak obecnie, i jest wszelka nadzieja, że ruch w tym kierunku nie ustanie. Donoszą że pusty plac po zdemolowanych oficynach hotelu angielskiego zajmie okazała budowa, albowiem bank kredytowy lwowski nabył częśś gruntu za 60.000 zlr. i zamyśla stawiać tam gmach dla siebie. Jeżeli pod względem finansowym życzyć należy Kasie Oszczędności jak najlepszego powodzenia, to natomiast pod względem architektonicznym oby była pobitą przez zakład akcyjny, który ma stanowić jej *vis-à-vis*. I oby był pobitym także i Bank Hipoteczny.

Mimo wielkiego ruchu budowniczego, pozostanie wiele jeszcze luk niezapełnionych w najgłówniejszych częściach miasta. Plac Halicki od strony ulicy Wałowej i komendy placu naprzykład, ciągle jeszcze stanowi niejako muzeum nieciekawych starożytności pod względem budek, lepianek i chlewów. Ulica Słowackiego prosi się, by ją zabudowano. Para drewnianych dachów przy placu Marjackim prosi się o zdemolowanie. Plac Castrum, w śródmieściu, w tym stanie, w jakim jest, nie przyczynia się także do piękności Lwowa. Są nakoniec luki i pod względem zarządu. Wiadomo, iż gmina zawarła z księżycem kontrakt, mocą którego obowiązanym jest świecić z wieczora przez 13 tygodni w roku. Księżyc najczęściej nie dotrzymuje umowy, co jest bardzo nie pięknie ze strony ciała niebieskiego. Widać, jak wysoko dotarła już demoralizacja. Bądź co

bądź, gmina powinna go zmusić sądownie do wypełniania powinności, bo inaczej nasze ciała ziemskie narażone są na najnieprzyjemniejsze kolizje. Przeszłego roku pewien filozof krakowski, przybywszy do Lwowa i wracając w wieczór do hotelu upadł i uderzył się w ciemię — opłakanym zaś skutkiem tego przypadku jest książka, którą porwały i nicują wszystkie fakultety „Szczutka." Onegdaj znowu pewna pobożna dama wśród ciemności pocałowała w rękę na ulicy jakiegoś obywatela starozakonnego, biorąc go za O. Nikołkę, a o tej samej porze organ bezpieczeństwa zamiast „Dziennika Polskiego" skonfiskował kilka egzemplarzy „Gazety Lwowskiej." Takie są następstwa niedostatecznego oświetlenia i nierzetelności pani Dyany. Rada miejska powinnaby wydelegować kilku swoich najlepszych mowców, ażeby wyjaśnili księżycowi, jak u nas ciemno z jego winy.

* * *

Nie tylko u nas wielcy ludzie nie mogą doczekać się pomników. Zaledwie w pięćdziesiąt lat po śmierci Byrona, pomyślano w Anglji o tem, iż należałoby uczcić jego pamięć posągiem. Był to za życia najniepopularniejszy poeta, jakiego wydała ojczyzna Szekspira i Miltona, a po śmierci człowiek najokropniej spotwarzony w ojczyźnie wolności druku. Bezbożnikowi, który szydził z hipokryzji anglikańskiej, parowi królestwa, który śmiał przemawiać w obronie Irlandji, obywatelowi, który króla Jerzego nazwał „czwartym tego imienia głupcem i zdziercą," nie dano miejsca w kościele opactwa Westminsterskiego. Póki żyli współcześni jego, których dotknął swoim sarkazmem, wytężali wszystkie swoje siły w nadziei, iż pod ciężarem oszczerstw rzucanych na autora, Manfred i Czajld-Harold przestaną być poezją. Obecnie jeszcze, pewien *bas-bleu* amerykański próbował szukać w ten sposób odwetu na nieubłaganym wrogu całego cechu ckliwych i nudnych autorek brytańskiej rasy. Byron przeczuwał, co go czekało i kazał się pochować obok... ulubionego psa, któremu poświęcił jeden z najpiękniejszych swoich wierszy. Dzieci uczciły pamięć ojca skromnym nagrobkiem. Przeszłego roku zawiązał się komitet w celu zastąpienia tej tablicy okazalszym pomnikiem. Rodzina odparła, że naród, który tak długo był niewdzięcznym, nie ma prawa, namyśliwszy się, wyręczać ich w oddaniu czci Byronowi. Musiano zaniechać zamiaru, a obecnie jest mowa o postawieniu pomnika na jednym z placów londyńskich, czego rodzina zabronić nie może. Rząd grecki, dowiedziawszy się o tem, ofiarował bezpłatnie marmur potrzebny na posąg dla wielkomyślnego przyjaciela niepodległości Hellenów— szczęśliwy, że przestała być prawdziwą jego skarga:

„Helleńskich muz czarowny wdzięk,
Herоów cześć, kochanków szał,
Powtarza strun dalekich dźwięk;
Przytułek — obcy kraj im dał:
W dolinach tylko greckich gór
Nieznany greckich pieśni wtór!"

Skarga ta omal się nie dała zastosować do własnych utworów poety, z któremi purytanizm angielski dotychczas ani pogodzić się nie może. Po za Anglją był i jest on więcej cenionym, niż u siebie w domu. Oddziałał potężnie na piśmiennictwo wszystkich prawie narodów europejskich. Heine, Słowacki, często i Wiktor Hugo — są dziećmi jego ducha, chociaż każdy wziął inny promień z tego wulkanicznego ogniska — splinu. Najmniej dotkniętą bajronizmem została literatura angielska. Najpopularniejszy pisarz tego wieku, Dickens, wielki wielbiciel Szekspira, Miltona, Popego, jakby umyślnie unika w pismach i mowach swoich choćby najlżejszej wzmianki o samem istnieniu Byrona, podczas gdy często zwraca się myślą do tamtych pisarzy. Tak wyklętemu, potępionemu, a przecież nie zapomnianemu, teraz mają pomnik stawiać. Jerzy IV. i Castlereagh obrócą się w grobach z oburzenia, dewotki obojej płci będą pobożnie zawracały oczy w niewymownem zgorszeniu, a Grecja i Irlandja zwilżą marmur łzami wdzięczności.

Naszej historji Byron nie znał, jak to widzimy z kilku słów o Janie Kazimierzu, powiedzianych w Mazepie. Raz jeszcze tylko, w Don Żuanie, wspomniał o Polsce, a raczej o tem, że w niej bardzo zimno.

„Ale jeżeli chcesz się zagrzać w drodze przez Polskę — dodał — masz imię Kościuszki, a ono jak płomień Hekli przebije skorupę lodów."

Był to człowiek, który wymyślał na ludzi i kochał ich wszystkich, z wyjątkiem swego króla, ministra, swoich kolegów w Izbie lordów i swoich kolegów na Parnasie, ckliwych Wordsworthów i t. p. Z Moorem natomiast łączyła go wielka przyjaźń.

* * *

Szczęśliwsi w tej mierze od poetów, rzeźbiarze i malarze sami sobie za życia stawiają pomniki, i mogą nie dbać o niewdzięczną potomność, jeżeli genjusz ich idzie w parze z pracą, jak genjusz Matejki. Podziwienia godną jest pilność naszego artysty. Zaledwie mieliśmy sposobność oglądnąć we Lwowie Iwana Groźnego — Dzwonu Zygmuntowskiego nie widzieliśmy tu jeszcze — a już czytamy w dziennikach wiedeńskich sprawozdania o nowym utworze, przedstawiającym zamordowanie króla Przemysława. Nim oglądniemy dzieło, słuszną jest rzeczą podnieść niezmordowaną twórczość, która nas obdarza co chwila nowem płótnem, odnoszącem się do dziejów ojczystych. Napoleon byłby był genjuszem strategicznym, gdyby był nigdy i nie dobył szpady — ale w takim razie nie byłby wygrał ani jednej bitwy, i musielibyśmy mu wierzyć na słowo, że potrafiłby, gdyby chciał. Wygrał bitw czterdzieści i nie pozwolił nam wątpić o swoim talencie. Jest trochę prawdy w tem, że jednem ze znamion genjuszu jest płodność, nie można tylko brać tego prawidła na odwrót, bo wówczas my dziennikarze bylibyśmy chyba każdy z osobna ósmym cudem świata, produkując po parę set arkuszy druku rocznie. Płodność genjuszu pochodzi z popędu, który towarzyszy sile twórczej — gdzie nie ma tego popędu, nie ma i siły, albo jest paraliżujące ją lenistwo. Jeżeli Malczewski nie stworzył nic oprócz Marji, wolno twierdzić, że mu brakło siły, ale jeżeli kto przepisuje sam siebie lub drugich w tysiącznych kopjach, to nie można go jeszcze na tej podstawie posądzać o genjalność. Matejko nie powtarza się nigdy.

Jan Lam.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. Ślepowron.

(Ciąg dalszy.)

III.

Droga do Loboré.

Za nadejściem porucznika Baker i krajowców poszliśmy za śladem, i o jakie 300 kroków napotkaliśmy kępę wysokiej trawy i zarośli. Według wszelkiego prawdopodobieństwa tam dzik musiał się schronić; kazałem go więc wystraszyć z kryjówki i zaledwie ukazał się z pod krzaków, przywitałem go kulą, kładąc na miejscu. Krajowcy nadewszystko lubią wieprzowinę; wielką też była radość i zachwyt nad palną bronią, która w kwadransie ubiła im tak pożądaną zwierzynę.

Nareszcie 24go lutego nadeszły szczęśliwie nasze rzeczy wraz z wojskiem i resztą pozostałego stada. Major Abdullah zdał swój raport i jakem się tego spodziewał, został podstępnie przez Barysów napadnięty, a że ich wszystkich nie wymordowali, było to wielkiem szczęściem. Po mojem odejściu, Barysi przysłali kilku swoich posłów do majora, w celu zawarcia przyjaznych stosunków i wkróce zawiązał się ścisły sojusz. Krajowcy zbiegali się co dzień do okrętów, znosząc ptaki, tytoń i inne rzeczy, aby je zamieniać na paciorki, zwierciadełka cynowe i tym podobne drobiazgi, które żołnierze niedawno otrzymali z rządowych magazynów. Tym na pozór przyjaznym stosunkiem uśpili czujność oficerów i ludzi, i w nocy 17go lutego napadli znienacka na obóz. Szczęściem straż przy bydle nie całkiem jeszcze zasnęła; uderzono więc na alarm, a krajowcy zaplątawszy się w ciernisty płot, na chwilę zostali wstrzymani w ataku, co dało wojsku czas do przebudzenia się i chwycenia za karabiny. Wtenczas była właśnie pora wystrzelenia z działa; nieprzyjaciel stał prawie wprost jego otworu, i jedno odezwanie się armaty mogło straszny spowodować popłoch, ale egipscy artylerzyści, zapominając o armacie, haniebną ucieczką szukali schronienia na okrętach. Jeden tylko dzielny chłopak pozostał i odkrywając rogożę chciał dać ognia w chwili, gdy tłum go już okalał; niestety armata pozostała milczącą, a odważny żołnierz przebity na wskróś legł przy niej. Barysi mieli teraz już działo w swym ręku, lecz na szczęście nie umieli się niem posłużyć. W czasie tym armja zdjęta panicznym strachem schroniła się na okręty, gdzie oficerowie zaledwie zdołali żołnierzy sformować tak, ażeby rozpocząć regularny ogień na nieprzyjaciół, którzy posuwali się naprzód, z gorejącemi wiechciami w zamiarze podpalenia okrętów. Dzikim udało się nawet wrzucić ogień w sam środek jednego statku, przyczem dzidą przekłuli na pokładzie stojącą kobietę. Żołnierze jednak ochłonąwszy z pierwszej trwogi, zaczęli dobrze razić nieprzyjaciela; ten wstrzymał się w pochodzie, co dało sposobność majorowi Abdullah, sformować mały oddział, z którym ruszył naprzód i odbił działo. Po długiem oczekiwaniu armata przemówiła, ale zwykłą kulą zamiast kartaczami. Niebawem Barysi wzięci we dwa ognie od okrętów i od straży

stojącej nad brzegiem wąwozu, zaczęli się cofać a za drugim armatnim strzałem ustąpili z placu.

Gdybym nie znał gruntownie charakteru armji egipskiej, zaledwie mógł bym był uwierzyć w takąniedbałość; w żadnym wypadku nie można polegać na oficerach; są oni tak bezmyślni, jak prosty lud, który wychowany w mahometańskiej religji zdaje się fanatycznie na Bożą opiekę, nie troszcząc się całkiem o własne bezpieczeństwo.

Po nocnym napadzie, zaraz zrana, ozwały się wielkie bębny szejków, i krajowcy przy odgłosie rogów, zlatywali się zewsząd ku brzegom rzeki w zamiarze ogólnego ataku. Major Abdullah nie umiejąc sobie poradzić, znajdował się w krytycznem położeniu, lecz na szczęście ukazały się czerwone mundury moich pięćdziesięciu żołnierzy w towarzystwie 400 mieszkańców z Loboré. Na widok tak licznego zastępu, Barysi nie śmieli dalszych robić kroków i rozpierzchli się przy groźnym odgłosie piszczałek i rogów, aby zastraszyć majora. Na tem jednak zakończyły się groźby i oddział z pakunkami i stadem wyruszył we dwa dni w drogę, nie będąc więcej niepokojony; okręty zaś odpłynęły do Gondokoro.

Ja tymczasem założyłem w Loboré na wielką skalę jarmark na mąkę, zakupując ją w ten sposób, że za funt mąki płaciłem funt żywej wagi mięsa koziego. Chciałem zabrać z sobą znaczny zapas żywności z powodu, że wyniszczone przez handlarzy okolice południowe nie mogłyby nam może potrzebnego dostarczyć wyżywienia.

Zanim w dalszą puściliśmy się drogę, miałem sposobność przyjrzenia się wielkiej tańcującej zabawie w Loboré. Mężczyźni i kobiety w stroju natury wyskakiwali w najdziwaczniejszy sposób, śpiewając dzikie pieśni z towarzyszeniem muzyki oryginalnego instrumentu. Składał on się z długiej laski twardego drzewa, na której uderzenia krótkiej pałeczki z tego samego materjału, wydobywały tony tworzące dziwaczną, bezmelodyjną stukaninę. Niektóre dziewczęta były może i ładne, ale wysmarowane tłuszczem i czerwoną glinką, wyglądały wcale nieponętnie. Krajowcy przesadzali się w grzecznościach i za mojem ukazaniem zrobili mi miejsce, żebym lepiej mógł przypatrzeć się ich zabawie. Uderzył mnie wtenczas szczególny pomysł zastępujący poręcz naszych foteli. Jest to kawał sznura związany za oba końce, tworzący niby obręcz objętości stosownej do osoby; obręcz tę, siedząc na ziemi, zakłada się przez plecy i kolana, co tworzy punkt oparcia.

Mieszkańcy Loboré są bardzo zamiłowani w robotach kowalskich i różne z żelaza wyrabiają ozdoby; po największej części są to obrączki które noszą na szyi, rękach i nogach; niektóre z nich dochodzą nawet do znacznej grubości i mogłyby służyć za okucie dla więźniów. Zakupiłem kilka takich obrączek w celu zużytkowania ich na kajdany dla dezerterów, i byłem bardzo zaciekawiony, jakim sposobem właściciel, który mi je sprzedał, zdoła zdjąć z nogi te ciężkie okowy tak nad kostką spojone, że zdają się do nogi na zawsze przytwierdzone. Sprzedający usiadł na ziemi, kij średniej grubości, zrobiony z twardego drzewa abdnoosa, włożony został przez obrączkę pod kostką, i podczas gdy jeden człowiek nogą przytrzymywał koniec kija, drugi podkładał kamień, którego użył za podporę; tym sposobem dźwignia działając przez kamień naciskała w dół okowę, roztwierając jednocześnie jej spojenie dostatecznie, aby uwolnić nogę. Nigdy mi się nie zdarzyło widzieć tak sprytnego zastosowania dźwigni u innych plemion. Sposób roztwierania takich obrączek u mieszkańców Madi jest może więcej prosty, ale wymaga znacznej ilości ludzi, i stawia poddającego się temu zdejmowaniu w niedogodnej pozycji. Za dwie liny, przytwierdzone z dwóch stron okowy, ciągnie pewna ilość ludzi, rozchodząc się w przeciwne kierunki, póki wspólną siłą nie otworzą obrączki na tyle, aby noga wydostała się przez otwór.

Wszystko było już gotowe do dalszej podróży; towary i paczki leżały porozdzielane po dwadzieścia ładunków dla każdego oddziału tragarzy, który zostawał pod specjalną strażą oficerów i ludzi. Wielki bęben nogaraj zwoływał mieszkańców i każdy zajmował miejsce przy swoim pakunku, zapełniając szeregi dwudziestu oddziałów; wkrótce jednak okazało się, że sławiona uczciwość mieszkańców Loboré, była uczciwością wszystkich murzynów. Pięćset krów zostało wydanych dla tyluż tragarzy, za których szejk Abbio ręczył swoją odpowiedzialnością, a tymczasem bęben napróżno grzmiał przez kilka godzin. Dopiero gdy liczni posłowie rozbiegli się po wsiach, stanęło zaledwie 433 krajowców w pogotowiu, a 67 z tyluż krowami gdzieś znikli bez śladu. Zwłoka mogła stać się niebezpieczną, podając sposobność do dalszej dezercji; wielu bowiem ofiarowało się szukać swoich nieobecnych towarzyszy, z czegoby wynikło szukanie za nimi samymi i tym sposobem liczba moich tragarzy znacznie by się zmniejszyła. Spodziewając się podobnych sztuczek podczas podróży, podzieliłem w ten sposób pakunki, że z pomocą żołnierzy i żon ich, mogliśmy na wypadek nawet dezercji nie być w pochodzie wstrzymani. Rozdzieliwszy więc kosze z mąką między kobiety, kazałem ruszyć naprzód. Nie byliśmy już więcej w okolicy plemienia Bari, nie zachodziła zatem obawa napadów, to też pozostawiając pułkownikowi Abdel-Kader i reszcie oficerów dozór nad transportem, sam z żoną i Juljanem Baker puściłem się z przednią strażą pułku „Czterdziestu“. Okolica była lesista, urozmaicona skałami i górami, i robiąc cztery mile angielskie na godzinę, stanęliśmy na noc w skalistym wąwozie, gdzie przewodnik nasz spodziewał się znaleźć wodę. Ku wielkiemu naszemu rozczarowaniu ujrzeliśmy strumień prawie wyschły; trzeba zatem było zabrać się do usypania grobelki dla uzyskania czystej wody dla siebie, a konie biedne musiały się zadowolić rzadkiem błotem. Wkrótce zrobiło się prawie całkiem ciemno, a wojsko i bagaże gdzieś daleko za nami pozostały; zapaliliśmy więc ogromny ogień, żeby mogli się podług niego kierować, a trąba i bęben z pobliskiej skały robiły jak mogły największy hałas. W końcu około ósmej wieczór przy świetle zapalonych pochodni nadciągnęło stado a za niem żołnierze i tragarze z rzeczami. Kilku Loborejczyków zniknęło podczas drogi i to spowodowało opóźnienie. Byliśmy już dziewięć mil oddaleni od Loboré, trzeba jednak było posłać koniecznie napowrót po ludzi, aby zastąpić tych, co pouciekali. Na drugi dzień, gdyśmy się zbierali w drogę, naszych 400 tragarzy rzuciło się po swoje ładunki jak stado wilków na końskie mięso, rozrywając sobie paki. Nie zdarzyło mi się widzieć podobnej czeredy dzikich; zdatni są oni tylko do przenoszenia kości słoniowej, każdy zaś pakunek cywilizowanego świata w ich ręku jest na wielkie narażony niebezpieczeństwa. Paczki powywracano, nie zwracając najmniejszej uwagi na przedmioty jakie zawierały, i tak jeden został skąpany koniakiem, który strumieniami wydostawał się z paczki.

Stary szejk Abbio dał mi swego syna dla utrzymywania porządku między tragarzami. Młody ten człowiek miał lat blisko 27 i chociaż posiadał powagę w swojej powierzchowności, nie zdawał się używać najmniejszej kontroli nad swoimi ludźmi, których ucieczkę przyjmował z widoczną obojętnością. Podejrzywałem go, że sam ma wielką ochotę wymknąć się nocą, co gdyby nastąpiło, wszyscy poszliby za jego przykładem. Zabezpieczając się od podobnej katastrofy, kazałem przeciągnąć przez żelazną obrączkę zdobiącą szyję syna szejka rzemyk i powierzyłem go pod nadzór żołnierzy, którzy mieli niby stanowić jego straż honorową. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Ciąg dalszy).

Okres Mamuta.

Czegoż nas uczą te najświeższe z otchłani ziemskie odkrycia? Przekonywają dobitnie, że rodzaj ludzki jest o wiele, ale to o niezmiernie wiele starszy, niż przypuszczano, domyślano się, wierzono, a nawet niż do niedawna sama nauka wiedziała... Zaiste liczyć tu na stulecia, byłoby śmiesznością, gdy zaledwo lat tysiące odpowiada może tej starożytności świata, a i to za skromna liczba. Trudno tu bardzo, a prawie niepodobna podać dokładny rachunek starożytności, ale może nie bardzo odbiegniemy od prawdy, podając lat pięćdziesiąt tysięcy. Starożytność cywilizacji indyjskiej, perskiej, assyryjskiej i egipskiej, dozwala robić przypuszczenie nadzwyczajnej ich starożytności, a zatem jutrzenki wykształcenia i istnienia rodzaju ludzkiego. Świadczą o tem dzieła sztuki, jakoteż języków i literatur wspomnianych narodów. Lat tysiące egzystują ludy w stanie pierwotnej surowości, i zrazu, choć już nawet robią krok jaki, to drugi nie rychło za nim idzie, jak to postrzegamy i dziś jeszcze patrząc na niektóre na poły dzikie plemiona. Ale skoro raz cywilizacja wzięła nieco górę w jakim narodzie obdarzonym zdolnościami przyrodzonemi, tam posuwa się zdumiewająco olbrzymiemi krokami, w progresji geometrycznej.

Ale chcieć odgadywać o duchowym rozwoju pierwotnych mieszkańców naszej półkuli, i chcieć ze szczątków znalezionych w rumowiskach potopowych — byłoby żądać niepodobieństwa, kto wie ażali nie cudu. Materjał to bardzo jeszcze niedostateczny i cząstkowy nawet w szczegółach. Znalezione czaszki świadczą wprawdzie o budowie jakiegoś człowieka niższego rzędu, bardzo zbliżonego do małpy, ale natomiast późniejsze odkrycia mówią o kształtach doskonalszych, zbliżonych budową czaszki do dzisiejszych mieszkańców Europy.

Ciekawą niezmiernie jest budowa szczęki z zębami, znalezionej w ostatnich czasach przez pana Dupont, badacza robiącego poszukiwania pod opieką rządu belgijskiego. Znalazł on tę szczękę w jaskini zwanej Trou de la Naulette nad Lesse'ą koło Dinant. Otóż zęby w tej szczęce stanowią jakoby przejściowy stan od małpy do

zębów ludzkich. Podobne ciekawe odkrycia poczyniono i w wielu innych pieczarach belgijskich i francuskich i to przeważnie z nożami z kamienia, roboty surowej. Dziwniejsze jeszcze jest odkrycie zrobione w gromadzie Tryasowej w południowej Francji w Gers. Znaleziono tam szczątki małpy (Dryopithecus Fontani) ze szczękami, w których zęby podobniuteńkie są do ludzkich. Tamże znajdują się kości łupane w pozdłuż, co naprowadza na domysł, że dokonać tego musiał człowiek. Domysł zatem bardzo uzasadniony, że te szczątki są rodzajem przejściowego typu do wytworzenia się człowieka, który to domysł odpowiada zresztą rozwojowi geologicznemu istot organicznych w ciągu lat tysięcy. Najmłodszy zatem perjod, to jest dzisiejszy, przedstawiałby formy najdoskonalsze, oparte na rozwoju z pierwocin. Jakoż trudno prawie zaprzeczyć temu. Bo jeżli wszystko niemal w przyrodzie, jak kamienie, rośliny, zwierzęta nosi wybitną cechę powolnego rozwoju i kształtowania się—to miałżeby li człowiek, stanowiący także ogniwo w łańcuchu istot — miałżeby on sam tylko wyjść od razu doskonałym z ręki Stwórcy?

Nie chcemy jednak wyrokować przedwcześnie i wnioskować z tych niedostatecznych szczątków, które mamy pod ręką, ażeby nowe jakie odkrycie nie obaliło kiedyś całej budowy. Dla tego też wielu jeszcze zawaha się, zanim, wobec ubóstwa dowodów namacalnych, przyzna słuszność tym badaczom, którzy będąc ślepymi zwolennikami teorji Darwina, przyjmują ją nietylko co do rozwoju roślinności i świata zwierzęcego, ale także co do powstania, rozwoju i dojścia do doskonałości człowieka. Z tej też przyczyny nie przyznają zaraz w ślad za powyższym, że znajdowane gatunki z zamierzchłych okresów małp, są w istocie i koniecznie bratniem plemieniem praszczurów człowieka. Ci wszelako, którzy zgadzają się na zasadę teorji darwińskiej, że doskonalenie się istot i rozwój ich pochodzenie swe prowadzi od stworzeń niższego rzędu — ci przyznać mogą bez wahania, że i człowiek, jakkolwiek co do zewnętrznej przynajmniej całości materjalnej — wyszedł poczęty w świecie zwierzęcym. Nasze dotychczasowe, jakkolwiek niedostateczne badania geologiczne i doświadczenia, przemawiają za początkiem człowieka ze świata zwierzęcego. (C. d. n.)

Kronika paryska.

(Dokończenie).

Paryż. — Sierpień 1875.

Kolekcja monarchów egzotycznych, przez Paryż przeciągających, wzbogaciła się Sułtanem Zanzibaru, który zniósłszy w swych państwach handel niewolnikami, przyjechał zapewne do Europy po nagrodę swej liberalności.

Zarząd miejski przyjmuje go dość obojętnie. Sparzył się widocznie przed dwoma laty na Szachu Perskim, którego z wielkim przyjął przepychem, a który u jubilerów tutejszych różnych na kredyt nabrawszy kosztowności, wyjechał i „pisuj do mnie na Berdyczów!“ Śmiałbym się gdyby i z Sułtanem Zanzibaru, rzecz się w podobny zakończyła sposób. Ci panowie z dalekiego Południa a Wschodu, tak niedokładne mają pojęcia o własności, a przytem trudno wymagać, by „Syn Słońca, brat księżyca, król króli“ itd. (każdy z nich tuzinem przynajmniej podobnych rozporządza tytułów), trudno wymagać, by tak wielka osoba rządziła się temiż samemi, co i zwykły śmiertelnik przepisami sumienia. To nie przeszkadza, iż naiwna pod tym względem mieszczanerja paryska da się zawsze wziąć na lep licznej świty przybocznej, etykietalnych ceremonij, perłami i innemi precjozami wysadzanych kołpaków i jataganów.

Trzeba widzieć tych gapiów (badauds) ulicznych, jak gęstym tłumem eskortują gościa, w peregrynacjach jego po stolicy. Policjanci zmuszeni są nieraz uciekać się do kułaków, by rozpędzić zbyt zgęszczone tych ciekawskich zgraje. Radbym odgadnąć tajne myśli flegmatycznego syna Wschodu wobec tłumu ciekawe wlepiającego weń oczy, i radość swą z rzadkiego widowiska energicznemi nieraz wyrażającego giestami.

Widząc jak skaczą, poważny Muzułmanin, którego grom nawet spadający o dwa kroki z ciężkiej nie rozbudziłby apatji, musi nieraz Paryżanów o bliskie z małpami posądzać pokrewieństwo. Uśmiechnie się czasem w brodę, szepnie coś do przybocznych i na tem koniec.

Mówią, iż nowe wynalazki industrji europejskiej silne na nim robią wrażenie, i że rad widocznie coś ze swych skorzystać podróży, by przewodnikom swym zadaje pytania zgłębiające kwestję. Na co to się przyda? Powróciwszy pod skwarne niebo swej dalekiej ojczyzny, zagrzęźnie w puchach seraju, odurzy się dymem opjumowym i zapomni o projektach reform, jeśli mu dziś jakie snują się po głowie. Tak zwykle bywa. Rasie skłamać zbyt trudno.

Teatr „Vaudeville“ z bardzo ładnem powodzeniem przedstawia nową w 3 aktach komedję pp. Delacour i Hennequin pod tytułem *Le procès Veauradieux*. Zabawne i charakterystyczne dzieje tej sztuczki zasługują, bym wam je tutaj w zwięzłym skreślił rysopisie. Teatr „Vaudeville“ od dość już dawna uchodził za najnieszczęśliwszy z teatrów w Paryżu. Nie mogąc w żaden sposób odszukać siakiej takiej porządniejszej, i dłużej nad dziesięć lub piętnaście wieczorów utrzymać się zdolnej sztuki, pomimo dogodnej swej sytuacji w samym środku ożywionych włoskich bulwarów, biedny ten teatr widział ciągle pustki w sali i naturalnie pustki w swej kasie. Dyrekcje bankrutowały jedna za drugą, akcjonarjusze marzyli już nie o procentach, ale o wyratowaniu kapitału. Była nawet chwila, iż zrażeni chcieli zwinąć przedsięwzięcie i przybytek dramatycznej sztuki w hotel jakiś zmienić, czy w restaurację.

Ostatni z dyrektorów, p. Raymond Deslandes, gorsze jeszcze od poprzedników swych robił interesa, i nie mogąc dociągnąć do wakacji, w maju już teatralne zatrzasnął podwoje.

Trupa artystów prosiła go o pozwolenie eksploatowania teatru w ciągu letnich miesiącow na swoje konto i swoją odpowiedzialność. Pozwolenie bez trudności udzielonem zostało, i każdy pan dyrektor ruszając ramionami, litował się nad zaślepieniem biedaków, którzy bądź co bądź uparli się walczyć z fatalizmem.

Pierwszą czynnością artystów był przegląd archiwów teatralnych, czy nie zawierają jakiej jeśli nie dobrej, to znośnej przynajmniej i nigdy jeszcze nie przedstawianej sztuki.

W zwojach rękopismów, od niewiem już jak odległych spoczywających tam czasów, znaleziono trzy aktową komedję pp. Delacour i Hennequin na okładkach której kilku z rzędu panów dyrektorów „Nie warto przedstawienia“ czerwonym wypisało ołówkiem.

Niezrażeni tak smutną rekomendacją artyści, wzięli się do studjowania spotwarzonego (jak widzimy) utworu, postawili go na deski i publiczność hucznemi oklaskami daje im rację i dyrektorskie sądy bez apelacji maże swoim wyrokiem.

Kto wie, czy poszukiwania tego rodzaju, i w archiwach innych poczynione teatrów, nie zdołałyby wywlec na dzienne światło dużo, jeśli nie arcydzieł, to przynajmniej dobrych rzeczy.

Smutno pomyśleć, iż zła wola lub po prostu idjotyzm, takiego spekulanta dyrektora, może na długo, a czasem i na zawsze publiczność wielkich pozbawić przyjemności, młodemu zaś pisarzowi do sukcesów zamknąć drogę i nawet jeśli brak mu wytrwania, odstręczyć go od korzystnej dla siebie i dla drugich karjery.

W „Teatrze francuskim“ w „Odeonie“, gdzie jest tak zwany „Comité de lecture“ z pierwszorzędnych złożony artystów, wypadek taki zupełnem jest niepodobieństwem. W teatrach miejskich, gdzie dyrektor, pan absolutny proponowane sztuki przyjmuje lub odrzuca na własną odpowiedzialność, awanturki podobne wyżej opowiedzianej częstszemi są może, niżliby to się zdawać mogło.

Małoż jest tych panów, dla których *Le Petit Faust* lub *La belle Hélène* ostatnim są wyrazem estetycznego piękna, którzy wszystko ich mierzą łokciem, odrzucając ryczałtem rzeczy pod tę wspaniałą nie podchodzące skalę? Małoż jest tych panów, którzy mając bratanka lub przyjaciela poświęcającego się literackiemu zawodowi, utworom jego, choćby te były lichemi, przed wszystkiemi innemi dają pierwszeństwo?

Wspomniany teatr „Vaudeville“ ostatniej hipotezy jasnym służy dowodem. Zostając pod dyrekcją familji Ancelot, przez lat kilka z rzędu przedstawiał specjalnie i wyłącznie zapomniane już dziś zupełnie elukubracje pani Wirginji Ancelot.

Całe pokłady tymczasem rękopismów drzemiąc w archiwach, czekały przypadku, któryby im pozwolił do publicznej odwołać się sprawiedliwości.

Towarzystwo autorów dramatycznych w interesie młodszych swych braci, powinnoby do jakichś energicznych zapobiegających złemu uciec się środków. Odjęcie dyrektorom prawa absolutnej decyzji, urządzenie komitetu złożonego na poły z celniejszych pisarzy, a na poły z lepszych artystów, i któremu dyrektorowie winniby byli przedstawiać wszystkie tak przyjęte jak i odrzucone sztuki, najpraktyczniej do celu zmierzającą byłoby instytucją. Autorowie dramatyczni umieli w podobny sposób ubezpieczyć materjalne swe interesa. Dla czegoż moralny interes całego świata, nie mógłby tegoż samego z ich strony wywołać usiłowania?

„Procès Veauradieux“, komedja pp. Delacour i Hennequin, nie jest zapewne arcydziełem i do bycia nim nawet żadnych nie ma pretensyj. Wesoła sztuczka zawierająca kilka scen śmiesznych i kilka dość trafnych towarzyskich spostrzeżeń, moralna bez przesady, lekka w miarę, żadnej pewno w społeczeństwie nie wywoła rewolucji, żadnego prawdopodobnie nie nawróci przestępcy, lecz zabawi wszystkich i zabawi poczciwie, bez skandalu. O nie wielu sztukach współczesnych to by się powiedzieć dało.

Komizm jej wynikający z ciągłego a szybkiego ścierania się z sobą różnych poplątanych intryg i intryżek, nie da się w zwyczajnem uwydatnić sprawozdaniu. Śmieszne przygody młodego adwokata, któremu gderliwa teściowa w domu chwilki nie zostawia spokoju, i który po za domem w nieprawnych stosunkach złudnej szukając pociechy, „z deszczu“ jak się to mówi „wpada pod rynnę“ i na przeróżne naraża się trybulacje; śmieszne te przygody, powiadam, tylko ze sceny, tylko ożywione dobrą grą aktorów, pożądane mogą wywrzeć wrażenie.

Nie chcemy rozwlekłym opisem szkodzić młodej ich wziętości. Przetłumaczone, na lwowskiej scenie mogłyby się powieść wybornie i ani wątpić, że parę przyjemnych przysporzyłyby wam wieczorów.

Zanim teatralną opuścimy dziedzinę, zróbmy wprzód wzmiankę o wskrzeszeniu zmarłego od czasów cesarstwa „Teatru Lirycznego,“ który z miesiącem listopadem, pod dyrekcją Arsène Houssaye, ma rozpocząć kampanję pełną nadziei dla młodych kompozytorów. Miasto Paryż zatem aż trzy posiadać będzie zakłady (Opera, Opera komiczna i Teatr liryczny) serjo muzykalnym poświęcone utworom, do takich bowiem widowiska przedstawiające wesołe i ładniuchne, lecz za lekkie Offenbachowskiej szkoły produkcje, liczyć się nie mają prawa.

Tem lepiej dla melomanów.

Rozniosła się tu wieść, jakoby Aleksander Dumas, który dodajmy nawiasem, od niejakiegoś czasu poświęcił się specjalnej literaturze pisania nowych „Przedmów“ do starych rzeczy, miał teraz wystąpić z długą przedmową do nowego wydania Tomasza a Kempis „Naśladowanie Jezusa Chrystusa.“

Ostatnim tego rodzaju utworem wspomnianego pisarza była „Przedmowa“ do klasycznego romansu „Manon l' Escaut.“ Tak gwałtowny przeskok od rzeczy poziomych (ba! więcej niż poziomych) do świętych zadziwił wszystkich, oburzył wielu. Dzienniki lekkie z łakomą ciekawością, dzienniki poważne a religijne rzecz tę z cierpkim zapowiedziały niesmakiem.

Tymczasem, po bliższem rozwiedzeniu się, wieść cała okazała się bajeczką wylęgłą w mózgach poszukiwaczów nowinek, à tout prix.

Nowa edycja „Naśladowania Chrystusa Pana“

wyjść ma rzeczywiście i rzeczywiście nową opatrzona „Przedmową“, lecz ta ostatnia wybiegnie nie z pod sprofanowanego pióra Dumas'a, ale z pod nieskalanego pióra (!) pana Ludwika Veuillot, redaktora dziennika *l'Univers.*

Wyznaję, iż ta zmiana dekoracji rozczarowująca niektórych amatorów rzadkości, (a taką przedmowa Dumasa do dzieła Tomasza a Kempis byłaby niezaprzeczenie); mnie przeciwnie, chociaż dla innych powodów, do większego jeszcze rozciekawia stopnia. Chcecie wiedzieć dla czego?

Lubię łamane sztuki. „Różne są gusta i guściki“. „De gustibus non est disputandum“ itd. i z mojego zatem tłumaczyć się wam nie widzę potrzeby. Lubię łamane sztuki i ciekawym, jak pan Ludwik Veuillot, znany ekwilibrysta, z tego nowego wywiąże się zadania. Kto czytał dzieło Tomasza a Kempis (mało jest zapewne osób, któreby mi „nie“ odpowiedziały) ten wie jakim tchnie ono duchem wysokim, prawdziwie chrześćjańskim, pełnym wyrozumienia względem innych i miłości bliźnich.

Na każdej karcie czytelnik spotyka się z jakąś wzniosłą tego rodzaju radą a sentencją.

Otóż ciekaw jestem, jakim trybem pan Ludwik Veuillot, który zęby zjadł na szczekaniu przeciwko wszystkim, którzy inaczej niż on myślą i wierzą; jakim trybem pan Ludwik Veuillot — ultramontańska przekupka, który łając swych przeciwników tysiącem przynajmniej słów urągliwych francuskie wzbogacił dykcjonarze; jakim trybem pan Ludwik Veuillot, uosobienie złości, zemsty, gwałtu, jakim trybem ten pan Ludwik Veuillot do podobnego dzieła napisać może „przedmowę“?

Wygląda to jakby przedmowa przez Brillat-Savarin do dzieła o wstrzemięźliwości, jakby przedmowa przez Margrabiego de Sade do dzieła o dziewiczości; wygląda to jak nie wiem już co doprawdy.

Jedno z dwojga: lub dzieło Tomasza a Kempis przez pana Veuillot potępione wyda nam się stekiem herezji i błędów; lub też w przedmowie pana Veuillot ujrzymy publiczne wyznanie grzechów, publiczne bicie się w piersi „Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa!“ przed całym czytającym światem.

Nie widzę innego punktu wyjścia. Nie widzę ja, ale ja i pan Ludwik Veuillot, to co innego. Dzięki Bogu! Powiedziałem, iż znakomity to jest ekwilibrysta. Znajdzie on sposób zapalenia świeczek, jak się to mówi, Bogu i szatanowi. A ja lubię łamane sztuki. Z wielką zatem na ten „tour de force“ oczekuję z niecierpliwością i o rezultacie jego donieść wam pośpieszę.

Mówiłbym wam o bardzo tu wziętem dziełku pana Tissot: „Podróż po krainie miljardów“ (*Voyage au pays des milliards*) czytaj „Podróż po Niemczech“, która w krótkim przeciągu czasu kilkunastu doczekała się edycji. Ale czyż warto?

Na jedną pisane nutę, schlebiające wciąż miłości własnej narodu, na wrogach uczciwej nie zostawiające nitki, stronnicze a zatem upośledzone dziełko to jakkolwiek zgrabnie napisane. na dłuższe nie zasługuje wspomnienie. Dopóki Francja takich tylko paszkwilów walczyć będzie orężem, dopóki nie znajdzie rozumniejszego. dopóty spać Bismarkowi spokojnie, zdobyczom jego nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Lecz idźże, mów coś podobnego Francuzom, idźże mów coś podobnego i nam Polakom, że odmawianie przeciwnikowi talentu, czci, sumienia, a przyznawanie ich samemu sobie, niczego nie dowodzi, jak tylko bezsilnej złości, ślepoty a szkodliwego samoubóstwienia. Idźże, mów coś podobnego tak Francuzom, jak Polakom a zobaczysz jakim poczęstują cię kamieniem.

„Motus“ zatem.

Niedawno na cmentarzu „Montmartre“ w Paryżu, ładna odbyła się ceremonja. Grób Teofila Gautier, jednego z lepszych poetów Francji, ba i całego świata, wspaniałego doczekał się pomnika, i wzniesienie jego na cmentarz, wielbicieli zmarłego piewcy liczne ściągnęło grono.

Teodor de Banville przemawiał w imieniu osieroconego pisarzy bractwa. Pomnik rzeźbiony zdolnem dłutem rodaka naszego Cyprjana Godebskiego, przedstawia „Poezję“ która w lewem ręku trzyma lirę, prawą zaś dłonią na zmarłego wieszcza wspiera się wizerunku.

Na czterech rogach marmurowej kolumny czytamy:

†

TEOFILOWI GAUTIER

1811—1872.

PRZYJACIELE.

†

„Priez Dieu pour son âme, et par des fleurs nouvelles
Remplacez en pleurant les pâles immortelles
Et les bouquets anciens.“

†

„Ou retrouverez Vous le temps sacrifié?
Et ce qu'a de Votre âme emporté sur son aile,
Des révolutions la tempête éternelle?“

†

„L'oiseau s'en va, la feuille tombe,
L'amour s'éteint, car c'est l'hiver
Petit oiseau, viens sur ma tombe,
Chantez, quand l'arbre sera vert!“

Nie wiecie może, iż z dwóch córek zmarłego poety, jedna Judyta, poślubiona także poecie, chociaż o wiele mniej od ojca utalentowanemu, panu Catulle Mendez, sama się też kilka już razy na literatury puszczała błonia.

Ale cóż? Talent niestety nie zawsze z rodziców na dzieci w niczem nieuszczuploną przechodzi spuścizną.

Natura widocznie jest republikanką i dynastji nie tworzy, chyba w rzadkich, w bardzo rzadkich wyjątkach.

Pani Catulle Mendez do nich nie należy.

O śmierci rzezbiarza Barye doniósł wam „Tydzień“ niedawno. Ciężki to był rok dla artystycznej Francji. Corot, Millet, Barye. Trzy olbrzymie straty. Nie ma się czemu dziwić. Wszystko to, co w niej sumiennie i słusznie zyskaną europejskiej sławy połyska aureolą, wszystko to, jak się mówi, „nie wczorajsze“, po 70 i 80 lat liczy wieku: Wiktor Hugo, Thiers i tylu innych. Młodsze pokolenie zaś, nie sławetne.

Wyczerpawszy wszystkie godne uwagi waszej rzeczy, nie znalazłszy w liku ich żadnej, którąby na dłuższe zasługiwała gawędy, nie pozostaje nam nic, jak list niniejszy (jakkolwiek nie dociągnięty może do miary — wybaczcie ze względu na wakacje) pokornym zakończyć ukłonem.

W przyszłym miesiącu w krótką, dwutygodniową nad brzegi morza wybieramy się wycieczkę.

Gdy Paryż do października a listopada pusty, nudny, głuchy, żadnej lub prawie do gawęd nie podsuwa nam treści; być może prowincja, być może morskich kąpieli zakłady litościwszemi dla zakłopotanego będą kronikarza. Zobaczymy! I w tej nadziei do przyszłego listu.

J. S. Chamiec.

Piśmiennictwo polskie.

(*Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799. Studja do historji ducha i obyczaju przez J. I. Kraszewskiego. 3 tomy in 8° majori. Poznań — nakładem J. K. Żupańskiego 1873, 1874 i 1875.*)

(Dokończenie.)

Przypatrzmy się teraz, czy p. Kraszewski porobił jakie naukowe zdobycze, czyli inaczej, co jego książka nowego przynosi. Pierwsze dwa tomy zawierają w sobie bardzo mało szczegółów, któreby już poprzednio nie były znane, szczególniej tom pierwszy nie jest niczem innem jak tylko zręcznem i pięknem przedstawieniem znanych i udowodnionych już faktów i fakcików; natomiast tom trzeci obejmujący czas od 1791 do 1799 tj. od ogłoszenia konstytucji trzeciego maja, aż do śmierci Stanisława Augusta w Petersburgu, zawiera nadzwyczaj wiele nieznanych, a ciekawych szczegółów. Tak jasnego i szczegółowego przedstawienia insurekcji Kościuszkowskiej, powstania Jasińskiego na Litwie, słowem ostatnich konwulsyjnych drgnień Rzeczypospolitej nigdzie nie czytaliśmy. Nie wiemy tylko dla czego autor jako koniec epoki rozbiorowej uważa rok śmierci Stanisława Augusta, skoro jego śmierć moralna tj. abdykacja nastąpiła r. 1795?

Dzieło p. Kraszewskiego, jakkolwiek bardzo obszerne i pracowite pod jednym jednak względem jest niedokładne. Dla niego np. po pierwszym podziale, Galicja i wschodnie województwa odstąpione Rossji tak jakby już nie istniały; poświęca on im zaledwie kilka słów, a następnie zamilcza, i nie śledzi ich wewnętrznych walk, przewrotów, dążeń itd. A przecież zabrane prowincje nie przestały być polskiemi i żyły ciągle życiem duchowem z resztą niepodległej Polski, zajmowały się tak samo jak i przedtem losem Ojczyzny i pracowały dla niej. Szczególniej Galicja brała żywy udział w pracy około odrodzenia Ojczyzny, a każdy fakt politycznej donioslości zdziałany w Warszawie, uderzał natychmiast żywem tętnem we Lwowie, czego najlepszym dowodem naprężona uwaga, z jaką Galicja śledziła przebieg czteroletniego sejmu. Wyśledzenie tych prądów, które przechodziły z zabranych prowincyj do Królestwa i na odwrót byłoby rzeczą bardzo ciekawą i pouczającą. Musimy tu jednak zrobić tę uwagę, że dokonanie tego zadania jest nadzwyczaj trudne, z powodu braku opracowań porozbiorowej historji pojedyńczych prowincyj. Nie będziemy i nie możemy się zapuszczać w szczegółowy rozbiór tego dzieła co do podanych faktów, niedaleko zresztą by nas to zaprowadziło; jak widzieliśmy bowiem, autor po większej części przywodzi tylko fakty, albo mniemania o nich współczesnych i późniejszych pisarzy. faktów więc jako faktów rozbierać nie widzimy potrzeby, znaczyłoby to bowiem to samo, co pisać na podstawie dzieła p. Kraszewskiego drugie trzy, a może więcej tomowe dzieło. Na zakończenie więc tych naszych uwag powiemy tylko kilka słów o stronie zewnętrznej dzieła, rozumiejąc pod tem sposób przedstawienia. Dzieło to jest pisane potoczyście, pięknym i przystępnym językiem, i podzielone na rozdziały, z których każdy obok tytułu posiada w krótkości zebraną treść na początku. Autor starał się ile możności być jak najdokładniejszym, przedstawić wszystko z Tacytowską jasnością, i wbić niejako rzecz przeczytaną w pamięć czytelnika; wpadł jednak pod tym względem w pewną przesadę, często gęsto bowiem powtarza nie tylko swoje zdania, ale i cytaty, które na kilka stron przedtem uczynił. Powtarzanie się to jednak nie jest tego rodzaju, ażeby bardzo nużyło czytelnika. a jeżeli i nuży czasami, wynagradza to autor wkrótce żywością opisu. Wydanie jest piękne i bardzo staranne, zyskałoby jednak niezmiernie na tem, gdyby był autor umieścił na końcu dokładny indeks imion i przedmiotów, któryby ułatwił w dziele jego szukanie. Ważne to jest dla historyków szczególnie, którzy chcąc co wynaleść w dziele pana Kraszewskiego, będą musieli całe trzytomowe dzieło wertować, bo treści rozdziałów podawane na początku takowych nie są i nie mogą być dokładne. Że przy tej sposobności wiele się nauczą — to prawda, ale, że wiele czasu stracą — i to także prawda.

Historja p. Kraszewskiego, jakkolwiek nie jest bez wad, jak to wykazaliśmy, jest jednem z najważniejszych dzieł, które się od dawna w naszej literaturze pojawiły i przynosi zaszczyt swemu sławnemu autorowi. Niezmierna pracowi-

tość, olbrzymi talent w przedstawieniu i grupowaniu wypadków—oto zalety tego dzieła, a brak krytycyzmu jego wadą. Jeżeli jednak zważymy, że dzieło to jest pierwszem w swoim rodzaju, wady, jakie są, nie mogą zaważyć tak na szali oceny, żeby ona mogła wypaść na niekorzyść dzieła, owszem sądząc ją tak, jak sam autor, nie jako historję, ale jako jej próbę, musimy powiedzieć, że jest ono bardzo cenne i pożyteczne. P. Kraszewski zrobił już bardzo wiele, a przyszły historyk czasów od 1772—1799 będzie się musiał opierać na jego dziele, więcej powiemy, może się tylko ograniczyć na jego krytycznem obrobieniu i uzupełnieniu.

„Polskę w czasie trzech rozbiorów,“ możemy sumiennie zalecić wszystkim, jako pouczającą, a zarazem miłą lekturę; każdy Polak, jeżeli nie chce uchodzić za nieuka w własnej swej historji, powinien się z tem dziełem obznajomić.

B. Czerwieński.

Listy z Krakowa.

Kraków d. 6 Września 1875.

Nie ma miasta w lecie bardziej opłakany przedstawiającego widok — jak Kraków. Ustaje ruch wszelki, fizyczny i moralny, ulice puste — hotele ciche — desperują kupcy, szczególnie księgarze — bo jeżeli ruch towarzyski upadł — cóż dopiero literacki — w Galicji? Te więc najsmutniejsze ubiegłe dwa miesiące mało przyniosły korzyści dla jakiegokolwiek mieszkańca starożytnego grodu. Wszyscy od szewca do bogacza na biedę tylko narzekają, pierwszy nie ma komu robić butów, drugi, jak twierdzi, z powodu kryzis giełdowej, nierządu w swych dobrach lub złych interesów bankowych, nie ma ich za co sobie sprawić. Wszystkie te jednak nieszczęścia nie przeszkodziły tym panom, że zaraz z początkiem lipca wymyślili sobie jakieś choroby i zamiast wyjechać do nieprzynoszącego dochodu majątku ziemskiego, spakowawszy ogromne kufry, umknęli do wód zagranicznych do Ems, Spa, Karlsbadu i Gleichenbergu. Panowie pospieszyli dla żołądka, panie dla nerwów. Tydzień cały trwało to wyludnienie Krakowa, na kolei ruch był ogromny, dorożkarze konie zajeżdżali, posługacze łamali się pod ciężarem kufrów dam nieszczęśliwych, bo cierpiących, lecz wszystko to robili z minami niepospolicie ponuremi, wiedząc, że ten tydzień powodzenia i pracy odpokutują miesiącem pustek w kieszeni i próżniactwa. Emigrowanie *malades imaginaires* spowodowało, że ci nawet, których zatrudnienia i obowiązki w mieście przytrzymywały, niezbędną uczuli potrzebę wydalenia się z tego „nudnego grodu“ choćby na parę dni, choćby do wód krajowych. — Literaci tylko zostali, udając, że coś piszą, lecz w rzeczywistości nic nie robiąc, bo pisma pod ich redakcją wychodzące bardzo mdło wyglądały i same kuracji potrzebowały. — *Czas* zapełniał swoje ogromne rubryki wiadomościami „z bruku“ że kamień spadł z domu pod l. 64, że fiakier l. 2 został przytrzymany za nieostrożną jazdę, że chłopiec w Wiśle się topił, lecz go wyratowano; *Szkice*, pismo najwięcej mające koloru, drukowały znane już rzeczy jak n. p. *Żyd* Asnyka i surowo karciły wszelkie nadużycia literackie; teatr nawet przerażony tą głęboką ciszą wyniósł się na willegiaturę do ogrodu Strzeleckiego, gdzie sobie wybudował małą budkę i postanowił dawać różne farsy i djalogi pod gołem niebem. Przyklasnęła temu pozostała w Krakowie publiczność, ciesząc się, że się nie będzie potrzebowała dusić w zwykłem teatralnem zabudowaniu. Dyrekcja miała nadzieję świetnych rezultatów, dawano komedyjki i operetki, służba teatralna baczne miała oko na porządek, by się ktoś po pod krzaki bezpłatnie nie wsunął, a aktorzy okropnie wrzeszczeli, chcąc zagłuszyć szczęk talerzy i widelców z przyległej restauracji, gdzie siedzieli prozaiczni obywatele, przekładający kotlet nad dowcipy p. Ekera. — Rozchodzi się wieść, że teatr wyjeżdża, że panna Ćwiklińska głos sobie popsuła, desperują miłośnicy sceny, desperują dziennikarze, że zostają pozbawieni letniego teatru, krzyczą, że to rzecz niesłychana, że Warszawa ma „teatr letni“ że się bez niego obejść nie mogą, a dyrekcja w odpowiedź na te utyskiwania, ogłasza straty swoje wynoszące 2500 guldenów. Towarzystwo Sztuk pięknych, które zwykle na te dwa miesiące zamyka Wystawę, tym razem dozwoliło wolny wstęp publiczności, lecz cóż z tego była za korzyść? Pustki niesłychane, czasem tylko jakiś przejeżdżający patrząc na *Unję* Matejki, dziwił się, że tak pusto w salach; natomiast w niedzielę po zniżonej cenie wstępu, napełniały się sale wystawy krakowską publicznością, lecz myliłbyś się sądząc, że to z zamiłowania do sztuki... Wystawa w niedzielę przedstawiała nam jakby jakie *rendez-vous* ludzi spragnionych wiadomostek. Nieszczęśliwe panie miały nadzieję, że spotkają tu jakiego młodzika będącego w posiadaniu kilku miejskich bajeczek, lub szczęśliwą, wracającą z kąpiel damę modnie ubraną, w kapelusiku mężkim *homme*. Obrazów też nowych było bardzo mało; jedni artyści powycofywali swoje, inni ich nie nadesłali. Z początku zwracały uwagę niektóre piękne utwory jak n. p. *Targ na Kleparzu* pana Lipińskiego. Jest to płótno wielkich rozmiarów, arcydzieło w swoim rodzaju. Widzisz na niem ogromną masę ludzi, a każdy coś robi, każdy ma charakter i życie. Tu chłop na wozie odmierza kupcowi żyto, tam żyd kupuje konia i usiłuje go zdeprecjonować — dalej pędzi czwórka w krakowskich chomątach — ulicznicy łapią na sznurek gołębie. Jednem słowem jest to obraz niepospolitej wartości, każda grupa choćby z dwóch osób złożona tworzy całość, na którą z przyjemnością godzinę można patrzyć. Szkoda tylko, że obraz ten krótko był na naszej wystawie a teraz znajduje się we Wiedniu. — Wiele obiecywały dwa studja młodego utalentowanego artysty, Chełmońskiego z Monachium. Szczególnie jedno, *Babie lato*, przedstawiające wiejską dziewczynę bawiącą się pajenczyną, malowane było nadzwyczajnie śmiało i naturalnie. Obecnie oglądamy zuowu w salach wystawy niektóre obrazy z kollekcji pana Wł. Kowalskiego, po większej części stare portrety znakomitości polskich, które pod względem historycznym nie małą mają wartość. Widzimy tu portret Zebrzydowskiego, hetmana Lubomirskiego, Klemensa Branickiego i wielu innych, między któremi celuje mały lecz piękny portrecik Kościuszki. (Dok. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— O budowie tanich pomieszkań przez inżyniera E. Petiona; 8ka str. 32. z ryciną litografowaną. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. 1876 roku. 30 centów.

Autor zachwala mur ziemny, jako równie wytrzymały, a trzy razy tańszy od zwykłego, i podaje dokładną instrukcję co do samych robót. Rzecz zasługuje na uwzględnienie i gdy jest mowa o budowaniu tanich pomieszkań dla klas pracujących może znaleźć praktyczne zastosowanie. Ale i w gospodarstwie wiejskiem wznoszenie budynków z muru ziemnego może zdziałać nie małą ekonomję.

— O konserwacji drzewa, szczególniej wystawionego na podwójne działanie powietrza i wody. — O uogniotrwaleniu dachów. — O wyrabianiu sztucznych kamieni. Napisał inżynier E. Petion; 8ka str. 20. z ryciną litografowaną. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej. 1875 roku. 30 centów.

Trzy rozprawki powyższe napisane w sposób popularny mogą znaleźć rozległe zastosowanie w praktyce gospodarskiej; na szczególne zaś uwzględnienie zasługuje podany sposób uogniotrwalania dachów gątowych i słomianych, sposób bardzo łatwy, tani i praktyczny, który może być zastosowany przez każdego właściciela domu i życzyćby należało, aby się rozpowszechnił po całym kraju. Dobrzeby było, aby Rady powiatowe zaleciły go gminom.

— Dzieła Wincentego Pola. Pierwsze wydanie zupełne. Tom III. Serja pierwsza. Poezji Tom II. Lwów — 1875.

Tom ten wydany równie wytwornie jak poprzednie zawiera następujące utwory: Pamiętniki Benedykta Winnickiego 2) Mohort 3) Powódź. Mohort był w handlu księgarskim zupełnie wyczerpany.

Niemiecka.

— Schriften der Gesellschaft oesterreichischer Volkswirthe. — Wien — Manz 1875.

Niedawno zawiązało się we Wiedniu towarzystwo ekonomistów austrjackich i na pierwszym swoim zjeździe rozbierało rozmaite kwestje, tyczące się podatku, kredytu cła i taryf dróg żelaznych. Kwestje te przedstawiali członkowie towarzystwa pp. Biliński, Hertzka, Höfken Hübeck i Wirth, którzy mieli je sobie oddane do referatu. Referaty ogłoszono drukiem. Z prac tych najwięcej zajęcia budzi referat Dr. Hertzki o kwestji waluty. Broszura napisana z gruntowną znajomością przedmiotu w wywodach swoich popierana szeregiem tablic, zasługuje na wszechstronną uwagę, szczególniej ze względu na bogaty materjał nagromadzony. Każdy zwolennik nauki ekonomicznej z pożytkiem i przyjemnością odczyta powyższą pracę pana Hertzki.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Pan Juljan Klaczko, który w r. 1863 gorąco popierał powstanie, biorąc za to sowite honorarja, napisał teraz w *Revue des deux Mondes* rozprawę pt. *Dwaj kanclerze*, w której wielbiąc Bismarka i Gorczakowa, propaguje panslawizm, i z cynizmem równym p. Walewskiemu rzuca się na ostatnie powstanie polskie. Nie wspominalibyśmy o tym pamflecie, gdyby nie okoliczność, że lwowski *Ruch literacki* powtarza go w tłumaczeniu. Szczerze życzymy szanownemu koledze, aby zaniechał tej zabawki niebezpiecznej, która ubliża pismu polskiemu. Najlepiej przerwać druk pamfletu p. J. Klaczki.

— Józef Szujski pracuje nad podręcznikiem „Historji Polskiej,“ który będzie obejmował najwięcej 40 arkuszy druku. Dzieło to ma się wkrótce ukazać w Krakowie.

— Nowa księgarnia, pod firmą p. Wł. Zawadzkiego, zostanie otwartą we Lwowie za kilka tygodni obok hotelu Żorża.

— We Lwowie ma być przedstawiony głośny utwor Juljusza Verne pt: „Podróż naokoło świata w 80. dniach.“ W Berlinie przedstawiono to dzieło d. 21. sierpnia 150 raz.

— Czytamy w krakowskich *Szkicach*: „Do dziejów stosunku Akademji do p. Walewskiego dodajemy słów kilka, mogących rzucić na nie pewne światło. W sprawozdaniach Akademji, gdy jest mowa o dziele p. W. zanotowanem zostało, że Akademja nie będzie go drukowała, gdyż są w niem zawarte za zbyt dobitne alluzje polityczne. Tak się w języku akademickim nazywa podłość i wyidealizowana bezczelność, z jaką p. W. rzucił się na całą naszą przeszłość i teraźniejszość, na wszystkie uczucia najdroższe sercu prawego Polaka. Wspominając w zeszłym numerze, że członkowie Akademji nie zdobyli

się nawet na podobną protestację, jak na opuszczenie sali podczas odczytów pana W. lub też na wystąpienie przeciwko niemu — zapomnieliśmy o wiążącej się z tem dziwnie sprawie p. Duchińskiego. P. Duchiński czytał swoje poglądy historjozoficzne, w części walczące przeciw Moskalom — panowie krytycy kpili z nich otwarcie, wyszydzali je w „Czasie“ i „Przeglądzie Krytycznym,“ a nawet jeden z członków Akademji wyszedł demonstracyjnie z sali. Tym wielkim przeciwnikiem p. Duchińskiego był autor Filozofji dziejów Polski, czynny członek Akademji umiejętności. p. Antoni Walewski. Kiedy z kolei p. W. wystąpił z odczytami uwielbiającemi Moskwę, a hańbiącemi dzieje naszego narodu, nie kpili panowie akademicy, nie szydzono w „Czasie“ i „Przeglądzie Krytycznym“ nikt nie opuścił sali, bo to były tylko „dobitne alluzje polityczne.“

— Ośmielamy się zapytać dyrekcję lwowskiego Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych, czy odbędzie się w tym roku walne zpromadzenie członków tego Towarzystwa, i kiedy? Członkowie chcieliby się o tem dowiedzieć na kilka tygodni przed zgromadzeniem, aby się przygotować z wnioskami. W ten sposób zgromadzenie tegoroczne mogłaby lepsze wydać owoce, jak wszystkie dotychczasowe.

— Nakładem Ungra w Warszawie zaczęto już odbijać album artystów polskich, którzy bawią w Monachjum. Będą to reprodukcje z celniejszych obrazów naszych malarzy. Kierownictwo objął p. Brandt.

— W Poznaniu zebrało się d. 2 b. m. grono obywateli, w celu naradzenia się na i tem, jak uczcić pamięć Karola Libelta. Po krótkiej dyskusji postanowiono utworzyć stypendjum imienia naszego filozofa. Wybrano natychmiast komitet, w którego skład weszło 14. obywateli.

— Warszawski *Wiek* donosi: „Dowiadujemy się o projekcie nowego pisma, jakie wychodzić ma w Warszawie, pod tytułem „Atheneum“. Ma ono się ukazać w poszytach miesięcznych i zajmować się ruchem naukowym, nietylko zagranicą ale także i w kraju. Program pisma obejmuje wszystkie gałęzie wiedzy i nie trzymając się ściśle żadnych wyłącznych naukowych systematów i przekonań, traktować ma rzeczy, o ile to być może, objektywnie. O ile to jest możliwem, a zwłaszcza dla samej nauki pożytecznem, praktyka wskaże, my tymczasem co do pożyteczności a nawet możliwości takiego programatu, pozwalamy sobie wyrazić pewną wątpliwość.“

— Znany krytyk wiedeński, Ranzoni, umieścił w *N. Fr. Presse* z d. 4 bm. obszerny artykuł o wystawie w tamtejszym Künstlerhausie. Większą połowę artykułu poświęcił on pracom artystów polskich, mianowicie „Śmierci Przemysława“ Jana Matejki, dziełu nowemu, które pierwszy raz wystawiono teraz we Wiedniu, obrazowi rodzajowemu Lipińskiego, na którym jest przedstawiony „Targ zboża na Kleparzu“ i portretom Rodakowskiego. Uwagi autora „Studjów o sztuce polskiej,“ umieszczonych wnaszem piśmie, o talencie Jana Matejki, doczekały się w krytyce p. Ranzoniego najzupełniejszego potwierdzenia. Estetyk wiedeński jest także zdania, że Matejko nie ma sobie równego w „charakteryzowaniu poszczególnych indywidualności“ że dzieła jego downiejsze jak „Skarga,“ „Rejtan,“ „Unia“ i „Batory“ robią niepospolite wrażenie dla olbrzymiości tkwiących w nich pomysłów, ale równocześnie dodaje wraz z nami, że od czasu „Dzwonu Zygmunta“ i „Iwana“ widać w Matejce prawie chylenie się do upadku. Matejko *olśniewa* teraz, ale już *nie zachwyca*. Co do „Śmierci Przemysława“ to według Ranzoniego, obraz ten ma głowy stosunkowo bardzo słabo charakteryzowane i dla tego cześć nie robi należytego wrażenia. — Z naszej strony dodamy jeszcze, że Jan Matejko w ostatnich czasach za wiele zaczął malować. Nic łatwiejszego jak się wyczerpać. Artysta gorączkowo tworzący, musi być coraz słabszym. „Targ“ Lipińskiego uważa Ranzoni, za utwor w swoim rodzaju znakomity. Oto co o nim mówi: „W obrazie Lipińskiego obok znakomitego talentu do malarstwa, czuć tak delikatne oko dla linji i piękności barw, że równe mu przywykliśmy spotykać tylko u najpierwszych mistrzów. Żywy ruch jarmarczny, jest uwydatniony wielką liczbą wesoło charakteryzowanych gromad a chociaż obraz, z powodu mnogości motywów, nie jednemu mniej twórczemu malarzowi mógłby użyczyć materjału do kilku obrazów, mimo to nie jest on ani przepełniony ani niespokojny.“ Cieszy nas niewymownie, że przybył nam nowy talent artystyczny, o którym wczoraj jeszcze małośmy słyszeli. Portrety Rodakowskiego bardzo się podobają krytykowi niemieckiemu.

— W Atenach skradziono z biblioteki narodowej 15.000 tomów.

T. Lenartowicz i „Gwiazda“ lwowska.

— W dniu 3. bm. doręczono Teofilowi Lenartowiczowi, bawiącemu obecnie w Krakowie, przez dwóch oddawców, w osobach pp. Mieczysława Darowskiego i Władysława Bełzy wspaniałe album z fotografjami przyjaciół jego i wielbicieli — i dyplom na członka honorowego, lwowskiego stowarzyszenia *Gwiazdy*. Pierwszy bowiem głos — który podniósł się z miasta naszego, zapraszający serdecznego lirnika mazowieckiego w odwidziny do Lwowa — był głosem młodzieży rzemieślniczej; słusznie więc należy się jej zaszczyt inicjatywy, który w tym razie jednomyślnie dzielili wszyscy mieszkańcy naszego grodu. Na serdeczne zaproszenie „Gwiazdy“, odpowiedział Lenartowicz równie serdecznym wierszem, drukowanym we wszystkich naszych dziennikach — w którym przesyłając życzenia swoje „Gwieździe“, tłumaczy się z niemożebności odwidzenia w obecnej chwili Lwowa — i kończy tem zapewnieniem że żegna się z krajem „jak flis przed żeglugą — bywajcie zdrowi da Bóg, nie na długo“. Życząc z całego serca, aby jego zapowiedź spełniła się jak najrychlej, wróćmy tymczasem do naszego sprawozdania. O godzinie 11ej z rana, pp. Darowski i Bełza, w gronie honorowych członków „Gwiazdy“ pp. Leona Bochenka, Baranowskiego, Edwarda Heppe, Ignacego Żółtowskiego, Stefana Erazmusa, Adolfa Dygasińskiego, Marjana Gawalewicza, i ks. rektora Słotwińskiego, udali się do mieszkania Lenartowicza w klasztorze księży Pijarów — w którym poeta zajmuje szczupłą i ubogą celkę. P. Mieczysław Darowski wręczając Lenartowiczowi dyplom na członka honorowego „Gwiazdy“ — przemówił do niego w tych słowach: — „Czcigodny Panie! Stowarz. „Gwiazda“ przejęte wdzięcznością za wiersz do niego skreślony i ośmielone życzliwemi wyrazami, które mu przesłać raczyłeś, uchwaliło wpisać Cię w poczet członków honorowych, ażeby tem samem zespolić się silniej z uwielbionym w Polsce całej wieszczem; a czując jak małe położyło zasługi w zdobyciu sobie tak zaszczytnego ze strony Twojej uznania, przyjmuje wyrazy Twe Mistrzu jako skazówkę posłannictwa swego w służbie ojczystej sprawy i jako błogosławieństwo Twoje; gdyż wie, że zaprawianie ducha cnotliwem a pracowitem życiem w rodzinie, gotowością posługi w obywatelstwie, a ofiarnością bez granic dla sprawy ojczystej, jedynie wywiąże się z nadziei, jaką w niem tacy, jak Ty męże pokładają.“ — Do wymownych słów szanownego prezesa stowarzyszenia „Gwiazdy“, dodał p. Bełza parę następujących wyrazów: „Oto album! Pragniemy czcigodny Panie byś wierzył, że tak jak sercem i myślą byliśmy dotąd z Tobą, tak chcemy niemal obecnością swoją dać świadectwo naszego z Tobą zespolenia. Racz przyjąć to album, i nie patrzyć na liczbę ofiarodawców — ale na intencję z jaką ci tę skromną pamiątkę składają.“ — Lenartowicz głęboko wzruszony, przyjął z wdzięcznością oba upominki — a odpowiedź swoją zamknął w następującem przemówieniu:

„Wdzięczny wam jestem czcigodni panowie. żeście mnie zaliczyć raczyli pomiędzy członków waszego zgromadzenia rzemieślników. Mam sobie za zaszczyt stawać śród pracujących i ściskać dłonie, które dym kuźnic i glina mularska poczerniły. Od najmłodszych lat moich marzyłem o ludu, jemu chciałem poświęcić wszystkie dni moje i życie, a poświęciłem zaledwie kilka łez, których wy podnosicie wartość. Za granicą kraju śpiewak i robotnik stoję przy chorągwi, którą trzymali Niemcewicz, Mickiewicz, Goszczyński, a kiedy czas przyjdzie, że razem ze swoimi rówieśnikami upadnie sztandarowy, wy, młodsi poeci, nie patrzcie, że żołnierz upadł, strzeżcie, aby chorągiew nie upadła. Kontynuacja narodowej myśli schodzi na was. Przyjmijcie panowie raz jeszcze wyraz mojej najgłębszej wdzięczności.“

W zakończeniu tej uroczystej chwili, odczytany został przez p. Darowskiego, nadesłany na ręce jego wiersz do Lenartowicza, którego autorem jest pan Zdzisław Onyszkiewicz. Oto brzmienie owego powitania:

Choć poterany z wichru i słoty
Głos zachrypł, w gardle się krztusi,
W słonecznym blasku skowronku złoty,
Wita Cię rolnik z Rusi.
Czy już istotnie wiosna nastała?
Że Ty w natchnieniu uniesień
Piejesz tak cudnie wciąż „Bogu chwała!“
Czy też minęła już jesień?
Śpiewaku Matki Boskiej w błękicie,
Iście ludowy lirniku,
Raduj nas w bolu, osładzaj życie
W kajdan rozpaczy i krzyku.
Oj, wszak wiesz, że tu nie wiosna jeszcze,
Że stąpać trzeba po grudzie,
Że w otrętwiałe zwątpienia dreszcze
Popadają słabi ludzie.
Więc k óż nam w pracy z pieśnią pospieszy,
Nauczy modłów, koronek?
Kto wskaże błękit? kto nas pocieszy
Jeźli nie śpiewak-skowronek!

Odkrycia i podróże.

— Z Lublany donoszą: Liczna i wyborowa publiczność napełniła dziś salę redutową, w której kustosz muzeum kraińskiego, p. Karol Deschman, wykładał o niedawno odkrytych mieszkaniach nawodnych bagien Lublańskich. Po wstępie, w którym mówił ogólnie o budowach palowych, przeszedł prelegent do budowli odkrytych pod Lublaną. W warstwie gliny 5 stóp głęboko znaleziono szczątki z wołów, jeleni, niedźwiedzi, świni bagiennej, dzika, owcy, kozy, jamnika i wiele ości grzbietowych ryb olbrzymich, z roślin pestki dereni i orzech wodny. Pliniusz opowiada, że ten ostatni służył jako pożywienie koni u Franków, a Vuk mniema, że orzech ten mielony, używany był jako mączka, z której chleb pieczono. Dalej znaleziono łupiny orzechów laskowych i w garnkach pozostałości potrawy przyrządzonej z *Valisiera spiralis* (L). Zresztą żadnych szczątków zboża nie odnaleziono. Głównem pożywieniem mieszkańców budowli nawodnych musiało być mięso. Tak przynajmniej sądzić należy z licznych szczątków porąbanych kości. Że znali mąkę, dowodzą znalezione młynki ręczne. Odkopane garnki są rozmaitej wielkości; niektóre z nich są opatrzone uchem, jednem lub dwoma, i ozdobione wcięciami paskowemi lub punktami, a kilka mają nawet rodzaj polewy (glazury.) Te ostatnie jednak znaleziono na osobnem miejscu. Snać należały... do bogacza. Oprócz tego wykopano łyżkę bez rączki z drzewa ciosowego, grubo obrobioną, mnóstwo krzemieni w formie używanej jeszcze dziś przez wieśniaków kraińskich, wiele toporów z rogów jelenich, kamieni szlifierskich i okrągłych, których prawdopodobnie używano do rozgniatania, i kawałki wężowca (serpentynu) zaostrzone niby strzały. Ostrzone w formie igieł kości nie mogły służyć jako broń, gdyż pomiędzy niemi znaleziono wyraźną igłę z uszkiem. Bardzo interesującym przedmiotym jest tarcza okrągła z palonej gliny z otworem w środku, w którym znaleziono szczątki drzewa. Prawdopodobnie służyła ona za wrzeciono. Jeden garnek wydobyto w całości. Pale same są topolowe i przegniłe, jeden z nich z małych złożony kawałków, ma 7 stóp długości. Ścian, lub dachu nie ma śladu, ale mnóstwo znalezionych węgli i popiołu zdaje się dowodzić że budowla ogniem zniszczona została. Pomiędzy dwoma wzgórzami Kermes i Babina Gorica, które stanowiło podstawę budowy, odkryto ślad mostu. Tyle odkryto dotąd. Dalsze poszukiwania prowadzą się pod kierunkiem p. Deschmana.

— W Hohenburgu, w małej kaplicy na górze Kalwarji, odkryto stary obraz włoski, przedstawiający Madonę. Znawcy utrzymują, że jest to oryginał Tiziana.

— Znany autor i podróżnik angielski, kapitan Burton, wrócił już z naukowej wycieczki po Islandji. Z jego sprawozdania dowiadujemy się, że spustoszenia na tej wyspie zrządzone przez wybuchy licznych wulkanów, nie są tak wielkie, jak o tem z początku mówiono. Obwód, który najwięcej ucierpiał, nie był zamieszkały.

— Wypadki badań naukowych, jakie znany archeolog dr. Schliemann przedsiębrał w rozmaitych miejscowościach, gdzie przechowały się zabytki starożytnej kultury, mają wkrótce być wystawione w Neapolu, gdzie rząd oddał do jego dyspozycji odpowiednie pomieszczenie.

ROZMAITOŚCI.

— W Indjach Wschodnich udało się nareszcie Anglikom schwycić parę dzikich ludzi, których nie bez słuszności uważać należy za pierwotnych mieszkańców Hindostanu. Wiadomem było, że szczątki tej rasy, ustępując miejsca zdobywcom, chroniły się od wieków w najniedostępniejszych górskich kryjówkach, i tam żyjąc w stanie dzikości, topniały tak dalece, iż dzisiaj zaledwie mała bardzo już liczba rodzin pozostała. Dotąd przynajmniej niepodobna był uczonym angielskim zetknąć się z nimi i osiągnąć jakie takie bliższe o nich i pewne szczegóły. Teraz dopiero ostatni numer angielskiego czasopisma „Academy“ zawiera opis jednej takiej pary dzikich, pierwotnych mieszkańców Indji Wchodnich, złowionej w prezydencji Madras, w południowo-zachodnich stronach wzgórz Palanei, z okazji geograficznych pomiarów tamże dokonywanych. Żyją w najgęstszych kniejach, a do osad ludzkich zbliżają się tylko wtedy, gdy mają do zbycia miód, wosk lub sandałowe drzewo. W zamian biorą chętnie ryż, tytoń, betel i nieco bawełnianych tkanin. Jednakże z powodu trwożliwości, jaką w zetknięciu się z ludźmi okazują, trudno jest nadzwyczajnie zbliżyć się do nich, a tem bardziej którego z tych dzikich pochwycić. O owej parze będącej dzisiaj w posiadaniu Anglików, czytamy szczegóły następujące: Wzrost mężczyzny dochodzi do 4 stóp 6 cali, głowę ma kształtu okrągłego; czarne, grube, wełniste włosy i skórę ciemno brunatnego koloru. Czoło jego jest wąskie i pochylone na tył głowy, dolna zaś część twarzy mocno naprzód wystająca, czyni go podobnym do małpy. Pomiędzy nosem a ustami grubo na wierzch wyłożonemi zachodzi cal przestrzeni. Nogi jego są krótkie i w pałąk zakrzywione, korpus stosunkowo długi i ręce do kolan prawie dochodzące. Co szczególniejsza, że palce u rąk są zawsze tak skurczone, iż ich wyprostować niepodobna. Dłoń, mianowicie końce palców, pokryte są grubą niezmiernie skórą, paznogcie zaś są niedostatecznie uformowane, za to stopy szerokie, rozwinięte. Kobieta jest równą wzrostem mężczyźnie, tylko posiada dłuższe, szorstko najeżone włosy, żółtszy kolor skóry i rysy twarzy więcej wykształcone. Ponieważ ci osobliwi dzicy ludzie zamieszkują gęste knieje (Jungles) wspólnie z najdrapieżniejszemi zwierzętami, przeto nic dziwnego, że liczba ich jest tak małą, owszem to cud prawie, że istnieją jeszcze na świecie. Za główny pokarm służy im miód i rozmaite korzenie, czasami jadają także mięso, ale to się im rzadko zdarza. Stałych siedzib nie mają; śpią gdzie tylko znajdą stosowne po temu miejsce. Na pojęciach religijnych nie zbywa im także, gdyż czczą jakieś leśne bóstwa.

— Warrens, kapitan okrętu angielskiego Greenland, dopłynąwszy do 77 stopnia szerokości północnej, znalazł się ściśnięty przez lody, tak, że dalsza żegluga stała się niepodobną. Lody te rozciągały się ze wszystkich stron na milę przeszło rozległości. Kapitan Warrens nie wiedział jak wyjść z tego położenia, panowała bowiem wielka cisza i nie było nadziei, ażeby stan rzeczy zmienił się tak prędko. Niespodzianie jednak około północy powstał wiatr i zmienił się wkrótce w burzę. Słyszeć się dało zarazem gwałtowne pękanie lodów, pod wpływem bowiem burzy formowała się pomiędzy niemi długa cieśnina. Nazajutrz wiatr ustał zupełnie, lody na prawo i na lewo rozstąpiły się i Greenland ujrzał się jak gdyby przy wejściu do kanału pomiędzy dużemi lodowemi ścianami. O dwunastej w południe osada ujrzała na dwie mile przed sobą drugi jakiś okręt. Szedł on zwolna z wiatrem północnym, ale żagle ułożone były w dziwny jakiś sposób i nikt się nie dawał widzieć na pomoście. Pan Warrens chciał się przekonać, co to za okręt, kazał więc spuścić szalupę na morze i udał się z kilkoma ludźmi w kierunku owego okrętu. Im więcej zbliżał się do niego, tem bardziej wzmagało się jego zaciekawienie. Okręt wydawał się nie zamieszkalny wcale. Szalupa przybiła do jego boku za pomocą drabinki sznurowej. P. Warrens zeszedł więc do kajuty kapitana. Tam zastał jakiegoś człowieka siedzącego przy stole tyłem do wejścia i zajętego pisaniem. Zdawało się, że nie słyszy nowoprzybyłych. Kapitan dotknął się jego ramienia, ale człowiek ów nie poruszył się. Wówczas p. Graucus przystąpił krok jeszcze i stanął osłupiały. Piszący był trupem. Zieleniała twarz jego twarda była jak kamień, widocznie zamarzł w tem położeniu. Trzymał jeszcze w ręku pióro, a na papierze można było wyczytać następujące wyrazy: „.... 14 listopada. Od siedmnastu dni jesteśmy zaciśnieni lodami. Od wczoraj brak nam już paliwa, kapitan usiłował nadaremnie wydobyć się z tego strasznego położenia. Żona jego zmarła dziś z rana. Pomocy żadnej...“ Pisanie kończyło się na tem, widocznie piszący zamarzł nad swojem sprawozdaniem. Cała osada okrętowa wyginęła w tenże sam sposób. Na podłodze i w hamakach leżeli majtkowie sztywni jak bryły lodu; w jednej z kajut zmarzła kobieta trzymała jeszcze martwe dziecko na ręku. Widok był przerażający. Kapitan Warrens oddalił się z tego okrętu śmierci, unosząc z sobą plikę papierów i książkę protokołów żeglugi. Obecnie zdał o tem raport do admiralicji, która rozkazała zrobić stosowne poszukiwania.

— Jeden z fejletonistów angielskich twierdzi, że być obecnym posiedzeniu sądowemu w Teksas, w Ameryce, jest oryginalną i tak przyjemną rozrywką, iż nikt, odwidzając tę prowincję odmówić sobie jej nie powinien. Oprócz bowiem roskoszy, wynikającej z przysłuchania się mowom adwokatów, odznaczającym się często świetną swadą, widok całej sali sądowej może wprawić w istotne podziwienie. Przedstawia ona obraz, którego wierne oddanie, byłoby dziełem godnem Hogarta. Najprzód tedy widzimy samego sędziego, na podniesieniu siedzącego w możliwie swobodnej pozie, z nogami na wysokości nosa, spoczywającemi na pulpicie, z tęgim kawałem prawdziwego tytuniu Wirginia w ustach, z których co pół minuty na prawo i na lewo złotawe fontanny wysyła. Przed nim stoi kubek z wodą, z którego od czasu czerpie i wypłukawszy sobie usta, pryska wodą przez pulpit na ziemię. Adwokaci po większej części z nabitemi rewolwerami pod surdutem, wszyscy z olbrzymią energją żujący tytuń i jeżeli nie przemawiający, to wertujący grube foljanty używają tegoż samego kubla dla pozbycia się prymki, gdy który z nich zabiera się do przemowy. Słuchacze, również rewolwerami zbrojni i żujący tytuń, częstokroć bez surduta, w rękawach od koszuli tylko, w pantoflach niekiedy, siedzą i leżą w malowniczych pozach na okolnych ławkach, kołyszą się na poręczach, lub spoczywają w obszernych framugach okiennych. Niektórzy pozwalają sobie kurzyć z krótkich fajeczek, a od chwili do chwili, przechodzi któryś ze słuchaczy w przestrzeń zajętą przez adwokatów i sędziów ku wiadru z wodą, płucze sobie usta, napije się i wraca na swoje miejsce. Zresztą obecni przez szacunek dla prawa zdjęli kapelusze i zachowują się dość cicho, każda bowiem głośniejsza wrzawa, jako ubliżająca godności sądu, natychmiast pieniężnie karaną bywa. Na jednem z takich posiedzeń, w miasteczku Clarkeville w północnym Teksasie przesłuchiwano swiadków, w sporze familijnym, przyczem jako sędzia pokoju przewodniczył szewc. Powód sporu był następujący. Pewien szczególnie złośliwy Teksańczyk,—który właśnie w tej chwili kręcąc bokobrody, czerwonowłosego sędziego i prokuratora szyderczo mierzył, pobił żonę swoją, a teściowę, która po stronie córki stanąć chciała, najprzód nogą od stołu za dom przepędził, wygnał ją, goniąc z nabitą dubeltówką w zboże, i zagroził jej wreszcie że ją oskalpuje jeżeli złapie. Sędzia i publiczność widocznie skłaniali się ku stronie pokrzywdzonych dam — i dwaj uczeni prawnicy, obrońcy nieokrzesanego przestępcy, którego dziesięciu ludzi po zaciętej utarczce w dziewiczym lesie ledwo uwięzić zdołało — mieli twardy orzech do zgryzienia, tem bardziej że im sędzia co chwila przerywał. Jeden z nich, wygodnie sparłszy nogi na stojącym przed nim stole, nie dał się jednakże odstraszyć i krzyżującemi pytaniami tak przyparł teściowę oskarżonego do muru, że ta drżąc zaczęła popadać sama z sobą w sprzeczność i na sprawę jej w obec prokuratora nieprzychylne światło jęło padać. Widząc to szewc, nasz sędzia pokoju, który widocznie szczególną ansę do szydersko przypatrującego mu się oskarżonego mieć się zdawał, wypłukawszy sobie żywo usta i uderzywszy pięścią w swój pulpit, zawołał nagle na bałamucącego teściowę adwokata: „Silentium!.“ Poczem zszedł z katedry, usiadł obok nastraszonej kobiety i rzekł do niej, żeby się nie bała i mówiła śmiało prawdę — bo on jej krzywdy nie da zrobić. Następnie sekretarzowi, prowadzącemu protokół, kazał to całe błazeństwo dotychczas spisane wyrzucić i dał mu pół dolara, aby piękniejszego papieru kupił i pod przewodnictwem jego na nowo akta rozpoczął. „Co zaś do pańskich przewrotnych wypytywań się, — zawołał z gniewem zwracając się do adwokata — nie mogę ich dłużej dozwolić. I ja tu coś jeszcze mam do powiedzenia. Co tam w tych grubych księgach stoi, nic mnie nie obchodzi; wiem ja tak dobrze, jak kto inny, kto tu ma słuszność a kto nie! I gdyby czterdzieści takich przypadków prawnych się zdarzyło, znajdę ja zawsze łotra, wbrew wszystkim waszym kuglarstwom i wykrętom. Halloh!... Co to! wyszedł mi już tytuń! Nie ma tu kto z was prymki do pożyczenia mi!“

— Popisy w pływaniu mnożą się w Anglji. I tak dnia 1 bm. panna Agnieszka Beckwith, w prześlicznym kostjumie koronkowym, rzuciła się w Londynie do Tamizy z mostu głównego i przestrzeń wynoszącą przeszło pięć mil angielskich przepłynęła w godzinie. Zuchwała dziewczyna ma dopiero lat 14. i jest córką jednego z nauczycieli pływania. Gdy w Greenwich wylądowała wśród okrzyków licznie zgromadzonej publiczności, nie była nawet zmęczoną. W nagrodę za ten zuchwały popis otrzymała złoty medal i sto funtów sterlingów.

— Z Kairu donoszono niedawno o śmierci księżniczki egipskiej Hanemy Zeinubii. Zrazu mniemano, że nieboszczka była siostrzenicą wicekróla, lecz podług najnowszych wiadomości księżniczka Hanema była rodzoną, i to najulubieńszą córką Khediwa. Żyła zaledwie 15 lat, a już była żoną Ibrahima baszy, syna Achmeta. Zostawszy matką, zapadła na tyfus i uległa tej zabójczej na Wschodzie chorobie. Zwłoki przewieziono koleją żelazną do Kairu, gdzie na drugi dzień odbył się wspaniały pogrzeb. Przeniesienie zwłok z pałacu królewskiego do moszei Rifah trwało półtory godziny, o milę bowiem odległe są od siebie owe miejsca. Na czele orszaku pogrzebowego prowadzono 24 bawołów, 30 wielbłądów i dwadzieścia wozów napełnionych chlebem, daktylami, gotowanem mięsem, jarzynami, a nawet wodą w stągwiach i syropem. Wszystkie te wiktuały rozdane zostały pomiędzy ubogich, wraz z 450,000 sztuk monet piastrowych i i pięćpiastrowych, które z mis rozrzucali pełnemi garściami eunuchy dworscy. Za zwierzętami i wozami postępowało 3000 duchownych egipskich, z których wielu przybranych w złotogłowie i jedwabie, podczas gdy inni wystąpili półnago. Duchowni ci mruczeli modlitwy i klaskali w dłonie. Za nimi szła rodzina zmarłej, dygnitarze państwowi, a nakoniec trumna niesiona przez oficerów sztabu. Trzech eunuchów na złotych misach niosło za nią egzemplarze Koranu, które dano nieboszce do grobu. W trumnie sporządzonej prostą robotą z surowego drzewa spoczywały zwłoki bez żadnych kosztowności lub ozdób, w biały całun tylko spowite. Natomiast na trumnie leżała długa laska, na której pozawieszane były wszystkie kosztowności zmarłej reprezentujące 3 miliony złr. Po złożeniu trumny w moszei, dygnitarze pospieszyli na pokoje króla z kondolencją, lecz ten tak był pognębiony stratą córki, że nie przyjął tego dnia nikogo. Po skończonym obrzędzie 3000 kapłanów zajęło się rzezią owych 24 bawołów, które na miejscu zostały upieczone i spożyte. Przez siedm dni jeszcze cały legjon duchownych muzułmańskich pozostawał u grobu księżniczki odprawiając modły za spokój jej duszy.

Odpowiedzi Redakcji.

K... W miejscu niewiadomem. Nie udawaliśmy się w tej sprawie do Pań, ponieważ wiemy, że one nietylko uznają każdą rzecz słuszną, lecz nawet są zdolne do poświęceń. Apelowaliśmy zatem wyłącznie do brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, do tych grzeszników zatwardziałych, którzy niestety poświęcają czasem dla drobnostki sprawę najważniejszą... Siamo intesi?

Treść Nr. 37.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).